

Grunert_Jerzy_AW_I-0218

[00:00:00, od początku] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-1A

Jerzy Grunert: Więc urodziłem się w Białymstoku w roku 1921. Ojciec mój był ogrodnikiem, matka pracowała w fabryce. Rodzina była mieszana, matka katoliczka, ojciec ewangelik i po ojcu ja jestem ewangelikiem. Z tej sytuacji no uczyłem się w szkole podstawowej, następnie zdałem egzamin do gimnazjum, uczyłem się w gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego, co było już stary typ, który ostatnie lata starego typu. Także w ślad za tym już zrobiło się te 6 klas, czyli jako 4 klasy gimnazjum, a potem następowało liceum. No ja po skończeniu tych 4 lat gimnazjum przenieśliśmy się do Wilna, zdałem do szkoły ogrodniczej. Państwowa Średnia Szkoła Zasadnicza w Wilnie na ulicy (*niezrozumiałe*) chyba numer 50. W Wilnie zamieszkałem najpierw u zapoznanych przez ciotecznego brata państwa Siemaszków. Pan Siemaszko był sędzią sądu apelacyjnego, a pani Siemaszkowa wychowywała 3 synów i miała pokój, w którym ja przez pierwsze pół roku adaptowania się do samodzielnego życia w Wilnie mieszkalem i utrzymywała mnie. A potem już zmieniłem sobie, bo to za drogo było. 60 zł trzeba było płacić, więc zmieniłem. Ojciec nie mógł tyle mi przysyłać. Zarobkować też było bardzo trudno, tam trochę korepetycjami, troszkę ogródki myśmy ludziom urządzali. Potem jak już bardziej się zdomowiliśmy w Wilnie, to urządzaliśmy gródki dla kawiarni. Bo dyrektor szkoły był taki dobry, że nam po niżonych cenach oddawał rośliny do upiększenia tych kawiarnianych ogródków. To znaczy jakieś tam rośliny iglaste, jakieś rośliny kwitnących krzaków, rośliny jednoroczne, wieloletnie. I tak się żyło. No pokój przeważnie wynajmowało się na dwóch lub 3. Przy okazji ja sobie kupiłem za 5 zł łóżko, które ciągałem za sobą, bo zawsze te pokoje umeblowane to miały jedno miejsce do spania, a ja nie lubiłem z kimś spać w ogóle, taki byłem zawsze, że pojedynczo. I ciągałem to. A przeszły 3 lata, w 1939 r. kończąc ogrodniczą szkołę zostałem jeszcze trochę na pracę, bo w październiku miałem iść do podchorążówki. To 3 letnia szkoła tam była, koedukacyjna między innymi. No i jak nastąpiła mobilizacja, wszyscy poszli na front, to ponieważ mieliśmy już zakończone przysposobienie wojskowe z odbytym obozem w Grodnie. To nas zmobilizowano do pilnowania magazynów wojskowych. To znaczy te magazyny były gdzieś tam przy jednostkach wojskowych na Tokolu w Wilnie. Nas tam dowożono i w pewnym momencie, jak napadły Polskę bolszewickie hordy trzeba było zmykać, tak przy okazji trochę tam schować granatów, trochę broni, bo zawsze nigdy nie wiadomo co się na co przyda. No więc to zrobiliśmy i ukrywaliśmy się tak, nie ujawnialiśmy się nigdzie. Zawiązaliśmy taką organizację w Wilnie pod nazwą Związek Wyzwolenia Wilna.

[1A, 00:05:09]

JG: To znaczy właściwie tej nazwy urzędowo nie było, ale z uwagi na to, że kiedyś tam we wcześniejszych czasach mieliśmy taką cichą organizację stronnictwa narodowego i podzielono na piątki. To znaczy 5 osób w grupie, starszy grupy znowu był w 5 starszych grupy i tak dalej. Na tej zasadzie ktoś tam u nas ubył, nie pamiętam kto, to jednego jeszcze sobie tam dokooptowaliśmy i po prostu mieliśmy możliwość rozmawiania na tematy, informowania o sytuacji w świecie i organizowanie się Polaków. No i przy okazji zaczęliśmy kolportować ulotki. Ponieważ trudno było się wyżywić, bo nie miało się żadnych źródeł dochodu trochę nam pomagał dyrektor szkoły, bo tam trochę niby praktykę odbywaliśmy u niego. To tam z tego co szkoła miała, jakieś tam owoce, jakieś jarzyny, trochę krupy to ugotowali nam tam zupy przy okazji. I jakoś trwaliśmy. Ponieważ Litwini wymienili nam tylko 20 zł na 20 litów, a 20 litów to była niewielka ilość, ale jeszcze tam, w różny sposób. Mój kolega taki Piotrek Marciszewski z Łodzi był taki zaradny i bezczelny trochę, ja wiem. Zlitowała się nad nami pewna pani Rodziewiczowa, żona piekarza. Myśmy dla tego pana Rodziewicza pomagali przywozić jeszcze za sowieckich czasów z hurtowni mąkę. On tam z Żydami jakoś tam *geschefty* miał i dostawał konia, platformę i nasze zadanie było naładować jak najwięcej na tą platformę mąki w workach z hurtowni i przywieźć i rozładować u niego w magazynie piekarni. I to nas, a za to dostawaliśmy obiady, chleb za darmo. Wtedy był już na kartki chleb, ale myśmy dostawali więcej tego chleba. No i tam trochę, jak już jest chleb i jabłka powiedzmy z ogrodu szkolnego to już można było przeżyć. No i te zupy szczególnie. Jak się potem okazało po latach, po latach, jak ja wróciłem tu do Polski, to ci państwo Rodziewiczowie byli w Białymstoku, ja ich nie zobaczyłem. Oboje nie żyją, oboje leżą na cmentarzu św. Rocha. Byłem na ich grobie, bo koleżanka, której nie znałem w Wilnie, a która no była moim zegarkiem. Codziennie ja do szkoły i ona do szkoły, ona chyba u nazaretanek uczyła się spotykaliśmy się i z uwagi na to w jakim miejscu się spotykaliśmy to umyślaliśmy, ja myślałem, że jest bardzo późno powiedzmy, ja że bardzo wcześnie. Bo kto tam z zegarkami się woził. I ona odnalazła mnie tu w Białymstoku.

Stanisław Sianko: Jak się nazywała?

JG: Telefonicznie już. Ona nazywała się Wojtkiewiczowa, po mężu. Więc ta koleżanka oczywiście. Jej mąż też wilnianin był wicedyrektorem technicznym w fabryce Sierżana.

SS: Jak się (nz)?

JG: Ona zadzwoniła, do mnie mówi, że Pan mnie nie zna, ale myśmy się widywali. I od razu mnie ta twarzyczka z warkoczykami się przypomniała.

[1A, 00:10:08]

JG: No i właśnie córka tych państwa Rodziewiczów. Przepraszam, ta koleżanka nazywała się Sarecka.

SS: Szarecka?

JG: Sarecka, przez S. Zosia Sarecka, przepraszam. Zofia Sarecka, a jej mąż też wilnianin, jak się potem dowiedziałem kolega mojego przyjaciela z ogrodniczej szkoły był jakimś tam wicedyrektorem, czy kimś w fabryce w czarnej filii białostockiej. A ta, znaczy koleżanka właśnie powiedziała, że spotkała się z córką Rodziewiczów no i myśmy tam pojechali, to było, gdzie to było, tam gdzieś na Marczuku.

R: Nie, na Mickiewicza.

JG: Nie, ale pierwsze spotkanie to było czy na Wierzbowej, czy gdzieś tam oni mieszkali. Potem na Mickiewicza to już ta Tola, a to Sareccy. Potem Sareccy... na pierwsze spotkanie myśmy tam gdzieś jeździli. No w każdym razie to z jedną i drugą parą się zaprzyjaźniliśmy, obie koleżanki nie żyją już. Jedna zmarła po prostu przez telefon mnie zawiadomiła koleżanka i byłem na pogrzebie, właśnie ta Tola Wojtkiewiczowa, z domu Rodziewicz. Tola, czyli Helena. Ją Tola nazywali w domu po prostu Tola nazywali, a ona Helena była. Proszę Pana to trwało, kolportowaliśmy te ulotki i prawdopodobnie ktoś nas wydał, bo w tej szkole ogrodniczej też zastaliśmy te ulotki, dawaliśmy do kolportowania innym kolegom, ujawnialiśmy się. I tam był taki Jurek Audi, on się nie krył z tym, że był Litwinem. Myśmy troszkę jego unikali. Jak się okazało on był Litwinem, ale szczerym patriotą polskim, a był z kolei...

SS: Jak się nazywał?

JG: Audiej, Juliusz Audiej. Też już nie żyje, tragicznie zmarł. Natomiast, i nawet przyjeżdżał tu do mnie. Znaczący przyjeżdżał do siostry żony w Białymstoku, ale postarał się, poszedł do ogrodnika, takiego pana Wojciechowskiego w Białymstoku i zaczął mówić, że się uczył w Wilnie i tak dalej. A on mówi: *(nz) uczył się w Wilnie*. A pan Wojciechowski podał mój adres i ja sobie tam pisałem na maszynie w kuchni, patrzę przez okno nagle Jurek wchodzi. A on

prawie się nie zmienił mimo że to przeszło około 20 lat. No i w ten sposób się zobaczyliśmy, a on tragicznie zginął. A aresztowani byliśmy 6 grudnia.

SS: Roku?

JG: Roku 1939. 6 grudnia w nocy.

SS: Niech Pan opisz aresztowanie.

JG: Więc ja już mieszkałem, bo myśmy po wojnie z tym Piotrkiem Marciszewskim, bo większość kolegów nie przyjechała, albo nie pozostała, tylko rozjechali się po domach bo byli ze Lwowa i z różnych miejsc wschodniej Polski, ale byli i z Łodzi i z Płocka i zewsząd. Z Tarnowa.

[1A, 00:15:00]

JG: No więc ja z takim Piotrkiem Marciszewskim mieszkałem przedtem i po wojnie, tylko że gospodyni związała i my w nieopalanym domu mieszkaliśmy do grudnia, ale potem pani Rodziewiczowa załatwiła nam mieszkanie w swoim domu, tylko u lokatora, który był jej krewnym. To znaczy chyba żona jego była krewną, a on był Litwinem, ale też takim przyzwoitym człowiekiem. Był kontrolerem, nie pamiętam ich nazwisk. Kontrolerem w kinie był. I właśnie tam się przeprowadziliśmy, mój kolega Marciszewski był chory bardzo, przeziębził się strasznie więc na tym moim wielkim łóżku, gdzie były 2 materace. Materace słomiane oczywiście, sienniki. Między którymi tymi materacami wszyscy prasowaliśmy spodnie, a wtedy to między tymi dwoma materacami były ułożone paczki z ulotkami i jak wskoczyli litewscy policjanci.

SS: To nie Sowieci was aresztowali?

JG: Nie, nie.

SS: Litwini?

JG: Litwini. Jak wskoczyli litewscy policjanci, to oni żądali pokazania granatów, karabinów, broni, a ja tego wszystkiego nigdy nie trzymałem w domu nawet jednej kulki nie było. Wszystko było za wiedzą naszej grupy powiedzmy zakopane w ziemi w miejscach znanych tylko paru osobom, może to i dziś tam leży. I oni interesowali się właściwie więcej bronią i amunicją, granatami. Tego nie było, zrobili rewizję, (nz) po litewsku z nimi rozmawiał. Mojego Piotrka Marciszewskiego nie ruszyli, bo chory, potwierdził ten Litwin, no a mnie

ponieważ znaleźli tam u mnie w kieszeniach 2-3 ulotki, ale każda inna. No ale ulotki, ale ja się tłumaczyłem że ktoś mnie wepchnął tam. Ale miałem własnoręcznie przepisany, bo nie pisałem tego sam, wiersz na Hitlera, Stalina i Smetone. I ja to miałem właśnie przepisane i on gdzieś tam powiedział, żeby to rozpowszechnić. I to mnie zgubiło, że mój charakter pisma, udowodniono mi to. Ja mówię: *A podobał mi się, ktoś tam deklamował i ja napisałem.* Zostałem aresztowany, przywieziono mnie najpierw do komisariatu na Witoldowej, obecnie (nz) w Wilnie, a stamtąd już do więzienia na Ukiszkach. Kiedy przywieziono mnie do więzienia na Ukiszkach, to zobaczyłem że jest kolega z mojej piątki, Zygmunt Śnieżko i Zbigniew Gulankow i profesor Jan Oszyła, polonista, który też wykładał na uniwersytecie, ale u nas w szkole tam dodatkowo polski i naukę społeczną prowadził. Więc już byli. Oczywiście może to i umyślnie, ale każdego potem w innym kierunku. Ale módlcie się żebyśmy się zobaczyli. No i w pojedynczych celach nas rozmieszczono. Po jakimś czasie, bo ja miesiąc siedziałem na Ukiszkach widziałem na spacerze Śnieżkę, a tak to nie widzieliśmy się w ogóle. Nie kontaktowaliśmy się.

[1A, 00:20:00]

JG: No, po jakimś tam czasie, no śledztwo prowadzono, ale kulturalnie, bez bicia, normalnie i oczywiście człowiek wykręcał się jak mógł, bo właściwie po co bohatera strugać. I odstałem miesiąc aresztu, wszyscy dostaliśmy po miesiącu aresztu, prócz profesora, który widać miał cięższe zarzuty bo został skazany o ile wiem na 1,5 roku katorgi w (nz). A my po odsiedzeniu miesiąca, 30 dni, ach i jeszcze ja i Śnieżko dostaliśmy oprócz tego karę dodatkową wysiedlenia z granic Litwy, bo byliśmy tylko tymczasowo meldowani w Wilnie. Natomiast Gulankow wypuszczony został na wolność prawdopodobnie. No jakoś mi się udało, z więzienia zawieźli nas, nie wiem czy to przy ulicy Wielkiej, czy przy jakiej był areszt, tam do tego aresztu. I jakoś mi się udało posłać wiadomość koledze, temu Marciszewskiemu, żeby moje rzeczy jakieś tam przyniósł, bo mnie wysiedlają. Więc on przyszedł, jeszcze z dziewczyną jedną, porozmawialiśmy chwilę, oddali mi te rzeczy, no i zaraz wkrótce poprowadzili nas na dworzec i do pociągu kierunek na Lidę z Wilna. Więc z Wilna do Jaszun. Jaszuny ostatnia stacja litewska na drodze do Lidy. Tam nas wysadzili, a w międzyczasie porwaliśmy swoje legitymacje, że mamy ukończony kurs przysposobienia wojskowego, że byliśmy członkami tego ochotników na Śląsk i Zaolzie. W każdym razie te wszystkie kompromitujące legitymacje porwaliśmy i wyrzuciliśmy przez okno, a wtedy już nam nikt nie przeszkadzał. Nawet mówił dobrze robicie, bo ruskie mówił nie wiadomo. No dowiózł nas do Jaszyn, wysiedliśmy z pociągu on mówi: *No, nie wracajcie nigdzie, tylko*

przejdźcie sobie sami przez granicę, ja was nie będę do samej granicy prowadzić. No myśmy się ucieszyli, poszliśmy. A to było tak, było 6 stycznia, mróz był 40 stopni i pełno śniegu, a my jak to w cienkich skarpetkach i w półbucikach. Więc zaszliśmy do jakiejś chaty na granicy, małżeństwo, starsze osoby, no i mówimy, że nas znaczy wyganiają z Litwy, musimy przejść do Związku Radzieckiego, ja jestem z Białegostoku, ten kolega z Ochmiany Śnieżka Zygmunt, no i chcielibyśmy przejść granicę, żeby nie trafić w ręce straży granicznej. No ja miałem, ponieważ ja miałem poduszkę i kołdrę, my przynieśli, to ja to oddałem, jeszcze tam mieliśmy troszkę tych polskich 20-słotówek to daliśmy jemu i jeszcze coś nie pamiętam. W każdym razie takie rzeczy, których już nie chcieliśmy nieść ze sobą. Bo oprócz tego ja miałem jeszcze walizkę z ubraniami, z bielizną. No i co, do 4 rano dali nam pospać trochę i o 4 rano nas zbudził i wyprowadził, pokazał w którym kierunku iść, że nas nie złapią. I myśmy faktycznie w tym kierunku poszli, dotarliśmy do starych torów nieużywanych i doszliśmy do miejscowości (nz). To była pierwsza stacja radziecka od granicy litewskiej do Lidy.

[1A, 00:25:05]

JG: Ponieważ w (nz) kiedyś, bo była tam stacja doświadczalna rolnicza, byliśmy kiedyś ze szkołą na wycieczce i też nasz 1 kolega ze starszego kursu Kossakowski. Mieszkał w (nz), nie pamiętam imienia Kossakowskiego. No więc zaszliśmy jakoś do tych (nz) jakoś zmarznięci strasznie, zmęczeni, bo to jak nie wiatr, sporo tych kilometrów po śniegu zrobiliśmy. I zaszliśmy do domu właśnie tych państwa Kossakowskich, ale oni nas nie przyjęli. Podejrzewaliśmy nawet, że sam Kossakowski kolega zobaczył nas przez okno i ukrył się. No wszyscy się bali tych Sowietów i to my doskonale rozumieli. Nawet nas nie poczęstowano jakimś jedzeniem, czy gorącą herbatą, po prostu powiedzieli, żebyśmy sobie szli, bo tu niebezpiecznie. Wyszliśmy i mój kolega, Zygmunt Śnieżko mówi tak: *Ja idę piechotą do Oszmiany.* Bo on z Oszmiany pochodził. Zgoda. Jak się okazuje dotarł do Oszmiany dobrze, tam furą jego podwieźli, czy coś. Tak słyszałem potem. Natomiast ja poszedłem, kto to wiedział, co to Sowiet, to teraz to człowiek może. Pójdę sobie kupić bilet na stacji i pojedę do Lidy a z Lidy do Białegostoku. Kupiłem bilet, poszedłem na dworcu stoi, ja do pociągu, ale oczywiście żydek z czerwoną opaską znający wszystkich (nz), to małe miasteczko było, wydał mnie. Natychmiast przybiegli ludzie z czerwonymi otokami, NKWD-owcy. Kolejowe NKWD tak zwane i zaraz mnie tu do jakiegoś tam pokoju przy stacji, rozebrali do naga, obejrzelik mnie wszędzie, zajrzeli i do buzi i do odbytu i wszystkie szwy. No i w każdym razie przetrzymali mnie jakiś czas, pokój też był nieopalany, ale ja się odgrzałem, bo ja byłem zmarznięty i byłem na dworze, a tam jednak trochę cieplej było. No jakiś czas mnie trzymali,

potem jeszcze parę osób złapali, ale ja z nikim nie rozmawiałem z tych paru osób. Posadzili nas do samochodu i odwieźli bliżej granicy do pałacu, to była, mnie się tak wydaje, że to była miejscowość Soleczniki, gdzie był pałac Wagnera. Bo o takim pałacu słyszałem wcześniej. Nie wiem nawet, czy my tego majątku wagnerowskiego w czasie tej wycieczki nie odwiedzaliśmy. W każdym razie tam było NKWD w pałacu, a w lochach, tam w piwnicach trzymali nas. Tam wiele osób było, tam raz dziennie dawali jakąś ni to kawę, ni to zupy i kawałek chleba. Ale tam krótko byłem, może 3 dni, może 4 dni. Parę razy nas tam próbowano przesłuchać, no i w pewnym momencie kilka osób zawieźli do Lidy samochodem też. Się nazywało tak zwane czarne (nz) czyli kruk. I w Lidzie umieszczono nas w podziemiach NKWD. Tam więzienia chyba w ogóle nie było, nie wiem. W tych podziemiach byłem może 2 tygodnie. To znaczy z podziemi ciągnano nas na górę na przesłuchania.

[1A, 00:30:05]

JG: Prokurator też był żydek radziecki. No i były tam dziewczyny zupełnie młode takie, w moim wieku. Ja miałem 18,5 roku, no 20, 21 widocznie po prostu czy zabawiały z tymi śledczymi, ale i dawano im ponaśmiewać się z nas, no i tam trochę dostaliśmy w kość. To znaczy ja oczywiście. Było nas tam w podziemiach z 3 cele, w jednej były kobiety i w 2 mężczyźni. Ja nikogo ze znajomych tam nie było, ale byli, których nazwiska zapamiętałem. Korzon, co człowiek gdzieś 40-letni, jakiś gospodarz z okolicy i z przeszłością peowiacką. Potem był bardzo interesujący żyd z Warszawy Wawelberg, ja nawet myślałem, że to może ten od szkoły Wawelberga, ale nie, przemysłowiec jakiś. Z żoną. I od nich...

[00:00:00] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-1B

JG: On i właśnie jak wiem dostał, zabrał NKWD-zistę tam, najważniejszy całą czapkę biżuterii i całą walizkę radzieckich pieniędzy. I w międzyczasie póki ja tam byłem, około 3 tygodni, nie wiem dokładnie ile czasu, bo to człowiek traci rachubę czasu, to im, ich cały czas łudzono, że ich zawiozą za granicę, przepuszczą i on zdawał sobie sprawę, że tej biżuterii nie odzyska i tych pieniędzy, ale nie obawiał się, bo powiedzmy chodziło mu o to, żeby dostać się na Litwę i poprzez Litwę wyjechać sobie do Stanów Zjednoczonych. No i tak tam mówiono. W pewnym momencie i żonę i męża zabrali, znaczy do granicy ich mieli zawieźć i przerzucić tam nielegalnie, a prawdopodobnie ich tam gdzieś zawieźli do zakopali i nikt nic nie wiedział. Takie metody były stosowane. Nie sądzę, żeby ten pan Wawelberg i jego żona ujrzeli światło dzienne, ale być może jakiś promyk nadziei jest, że ci ludzie przeżyli. To byli starsi ludzie, a on dla mnie starszy, on miał ponad 50 tak chyba, tak sądzę. Ona trochę młodsza była, taka

jeszcze do rzeczy kobietka była. No tam taki Koreńko, młody chłopak był, coś tam, bo to się szykowali do wyborów oni. Więc coś tam za język jego wzięli, ale jego więcej nie widziałem. I kilka osób w pewnym czasie, momencie znalazł, bo to byliśmy w 3-4, w mojej chyba ja jeden tylko, wzięli do transportu i zawieźli do Baranowic, gdzie jest widok Baranowic. Na stacji kolejowej, ach i cały czas nam mówili: *Rozpatrzmy, wypuścimy. Rozpatrzmy, wypuścimy*. I właściwie nikt z nas nie myślał, ja nie myślałem na przykład, że to jest jakieś przestępstwo przejście za granicę, kiedy ja tu mieszkam i do swojego domu wracam. I tak większość. I w Baranowicach potrzymaniśmy, potrzymani nas na stacji, doszło jeszcze więcej ochrony i taki zadymka śnieżna, takie wjazd zimy był. Pędzimy gdzieś tam za miasto, nie wiadomo gdzie, aż stanęliśmy przed bramą więzienia w Baranowicach. Tam właśnie mówi, chyba jego nazwisko było Nestor, pan. Mówi: *No to co towarzyszu, wy nas przywieźliście do więzienia?* A on mówi, a ten bojownik, konwojent mówi: *A co ty myślałeś, że do teściowej w gości idziesz?* Mówi: *Tu posiedzisz.* – *A to wy nas chcecie rozstrzelać?* – *A kto będzie tam was rozstrzeliwać, sami pozdychacie.* Mówi. – *Jeszcze ile kanałów wy wykopiecie. A u nas bardzo dużo kanałów trzeba kopać.* A potem jeszcze mu, widocznie był Białorus *duszykij*, ja nie znałem tego słowa, ale potem wyszło, że to dusiciele widocznie. No w każdym razie już w tym do więzienia trafiłem do 5 celi jako jedyny z tej paczki, którą przywieźli. No a ja naczytany za czasów przedwojennych tego (*nz*) co tam w więzieniu się wyrabia myślałem, że mnie wepchnęli do celi z kryminalistami. Stał taki w kolejowym jakby mundurze, z wąsami takimi.

[1B, 00:05:00]

JG: No widać taki urka, a to był poczciwy kolejarz, maszynista pan Bubniewicz. Ja tak myślę kto mnie tu rzuci ten ręcznik pod nogi, żebym ja sobie wytarł nogi, bo wiem, że tak trzeba, to znaczy lepiej przyjmą. A on właśnie wstał, a on jeszcze z menażką stał, myślę będzie mnie łał i mówi, zobaczył, że ja przestraszony, mówi: *Ty nie bój się, my tu wszyscy sami swoi, ja Bubniewicz się nazywam, kolejarzem jestem.* No i ja 20 byłem w tej celi i tak jakiś czas bez zmian było, no zaprzyjaźniłem się, zaznajomiłem się, pan hrabia Tyszkiewicz, Benedykt Benedyktowicz siedział. Staruszek, lat 70. Bardzo przyzwoity gość, myśmy za niego myli podłogę, wynosili te zbiorniki z moczem, parasze tak zwane po rosyjsku, a on nam opowiadał, opowiadał i opowiadał. Także godziny spędzaliśmy na jego opowiadaniu. Człowiek który mnóstwo widział, dużo robił, dużo znał i mógł o tym opowiedzieć wspaniale. No jeszcze tak był Igor Górowski, to syn jakiegoś tam Rosjanina migranta z Wilna i jego brat też siedział w Baranowiczach, w innej celi, Arkadiusz Górowski. To był mój sąsiad po

pryczy, do końca pobytu w Baranowiczach, a byłem tam około 5 miesięcy. Był pan Sosulski, kolejarz, ale urzędnik kolejowy. Kilku kolejarzy, ale tych dwóch zapamiętałem, bo Sosulski chory był na katar żołądka, wrzód żołądka i tam się wyleczył od tego prostego jedzenia. Zawsze śmialiśmy się, że taka dieta i wszystkie choroby leczy. Był pan Ginsburg.

SS: Gindzburg?

JG: Gincburg. Imienia nie pamiętam. Sklep obuwia albo Baranowicz, albo Grzesiu nie powiem na pewno, miał sklep obuwia. No i schował trochę tego obuwia i jako spekulant był aresztowany. Wójt, nie pamiętam w tej chwili nazwiska, może przypomnę i był burmistrz Baranowic, nazwisko ni to Sasinowski, ni Sosenkowski, Sosnowski, coś tak, na S. I było kilku osadników, między innymi pan Rybicki, było dwóch konfidentów policyjnych przedwojennych z Pińska albo z Unińca. Jeden nazywał się Renis, a drugi Dziemieńczuk. Białorusini, którzy między sobą cały czas kłócili się i wytykali co i dla kogo i kiedy donosili. Acha, był pan Czyczyński, ale to przekręcone nazwisko, bo może to był trzciniński, może coś.

[1B, 00:10:06]

JG: To prawdopodobnie przekręcone nazwisko, tak jak Rosjanie w ogóle przekręcali nazwiska. Tylko mojego nigdy nie przekręcili. On był celnikiem, był pan Kowalkiewicz i pan Kowaleczko, który później doszedł, to dwaj nauczyciele. Ale już nie pamiętam skąd, w każdym razie było 20 osób. Było dwóch Rybickich, nie krewnych. Starszy był osadnikiem, a młodszy po prostu jeszcze uczniem. I w każdym razie to mniej więcej o tych 20 ludziach, których zapamiętałem jak przyszedłem. W ciągu tych około 5 miesięcy pobytu w więzieniu Baranowickim napełniła się cela do 240-250 osób. Była to cela o 20 miejscach przedwojennych. Także ja zająłem można powiedzieć ostatnie miejsce na pryczy, ale potem się posunęliśmy. Ale już wszędzie i na pryczach i pod pryczami i na stole i pod stołem i na podłodze, bo podłoga była asfaltowa, a warunki niemożliwe bo im było cieplej tym był straszniejszy zaduch. Najpierw jeszcze nas ganiłi na te spacer, ale potem już nie było możliwości. Tylko, że wynosiliśmy, się biegunki tam zaczęły. Ja też byłem chory, miałem coś w rodzaju świnki, taką podjęzyczną, podjęzyczny ten gruczoł zaszło mi po głę i byłem strasznie chory i gorączkowałem. Pomagali mi pod ręce wychodzić do ubikacji i wracać, drzwi na przejściu pomalowane na ciemno, bo był zielony kolor dla mnie wydawały się płonącym jakimś ogniskiem i tak dalej. Ale mi przeszło, bez leczenia. Co jeszcze? Po prostu były napisy w ubikacji, okazało się, że książę Światopełk-Mirski tam siedział. Książę, książę Światopełk-Mirski i książę Radziwiłł po paru miesiącach na ścianie było zapisane, że książę

Radziwiłł został wywieziony, a po jakimś czasie, tam 2-3 tygodniach do naszej celi trafił maszynista, Rosjanin, który wioził Radziwiłła do granicy w Szaronce, który mniej więcej opowiadał tak, że Radziwiłł był spokrewniony z rodziną królewską Włoch i że na prośbę króla Mussolini porozmawiał z Hitlerem i Hitler porozmawiał ze Stalinem i tego Radziwiłła puścili do Niemiec. Taka była pogłoska. Natomiast w audycji telewizyjnej może pół roku temu, może kilka miesięcy temu, może rok już inna pani Bronicka z domu opowiadała, że spotkała Radziwiłła w Moskwie w więzieniu.

[1B, 00:15:07]

JG: Czyli, że chyba to była nieprawda, ale maszynista siedział i bał się, że jego rozstrzelają, żeby, bo za dużo wiedział. Bo tam nie można za dużo wiedzieć. Więc nie wiem, czy to była prawda, bo autentycznych (nz) to na pewno, bo jeszcze jego pracownicy, chłopci tam to był tak zwany dobry pan, chodzili do władz z petycjami, żeby go uwolnić, że to dobry człowiek i tak dalej. No i naturalnie sami się narażali na to, wiadomo że co im się potem działo, jeżeli oni występowali w obronie krwiopijcy. W każdym razie ja pierwszy trafiłem w pierwszy etap wywózki z Baranowicz i to było nie wiem kiedy, nie powiem jaka data, ale w każdym razie już po włączeniu republik Litwy, Łotwy, Estonii do Związku Radzieckiego, bo jak wieźli nas pociągiem to na stacjach były te hasła na czerwonych szmatach, no witamy, czy przyjmujemy. Ja rosyjskiego czytać, pisać nie umiałem, rozmawiać to się trochę już nauczyłem, rozumiałem, bo nie znałem języka. Ale byli i tacy co czytali przez szczeliny w pociągu. I był pierwszy, była pierwsza ucieczka z transportu, przed stacją w Stołpce, z naszego wagonu facet. Podobno nazywał się Dymidow. Oni tam cały czas kręcili, byli na pryczy ja byłem na podłodze, oni byli na pryczy pod oknem i próbowali zrobić sobie dziurę. Odkręcili jakieś śruby, coś tam mocno zahuczało raz, no w każdym razie w pewnym momencie pociąg hamuje, strzały. No i wtedy tamci przyznali się, że wyskoczył. Nikt go nie widział w każdym razie. No i chyba jego zabili, albo ranili, bo potem nieśli człowieka. Ja to tego wszystkiego nie widziałem, bo nie miałem dostępu do szczeliny, bo w takim wagonie, gdzie normalnie by zmieściło się 40 osób było 80. Jeden na drugim. Ale w każdym razie nasz wagon był w ostrym reżimie do samej Orszy, bo początkowo nas wieźli do Mińska, ale Mińsk nie przyjął nas. Tam 2 dni staliśmy na boczniczy chyba. Nie przyjęto z braku miejsc, czy co, nie wiem. W każdym razie mówili nam, że mieliśmy szczęście, że do Mińska nie trafiliśmy, bo tam przeważnie szli na przerób ludzie. I do Orszy. W Orszy wysadzono nas i tak jak w Baranowiczach tymi kolumnami w otoczeniu mnóstwa żołnierzy, tych strażników i psów i wszystkiego, kolbami po plechach i cały ten nasz transport gonili do więzienia. To taki

Pankiewicz mnie pytał, pan z Wrocławia, bo on też tam z archiwum wschodniego coś chce pisać pytał mnie właśnie o Orszę listownie i od niego dowiedziałem się, że to budynki jakieś poklasztorne w tym więzieniu, bo tego nie wiedziałem. W każdym razie mi się wydawało, że to nawet parterowe więzienie było. Nie przypominam żeby gdziekolwiek tam po schodach chodził. I właściwie cela, ubikacja, cela, ubikacja, cela, robota. Ja pod pryzmami zagnieździłem się i tam siedziałem i tam nam wyroki. Dopiero powróciłem do Polski, spojrzałem do encyklopedii, że Orsza leży nad Dnieprem, a ja tego Dniepru nie widziałem.

[1B, 00:20:06]

JG: No w Orszy niedługo siedziałem. Tam może po 2 tygodniach wywoływano nam wyroki czytano, między innymi mnie. Wyroki było 3, 5, 8, 3, 5, 8, psalterz taki, ja dostałem 5. 5 lat.

SS: Rozprawa była?

JG: Słucham?

SS: Rozprawa była?

JG: Nie, tak zwane *osoboje sowieszczanije*, czyli specjalna narada. Kiedyś nazywało się to trojka NKWD, a potem *osoboje sowieszczanije* NKWD. Wywołali mnie na korytarz, powiedzieli, że tobie przyznano 5 lat obozu poprawczego, obozów pracy poprawczych i kazali mi podpisać, ja nie zgodziłem się na podpisanie. On mówi: *To żaden problem*. Podpisał się byle jakim zygzakiem i odłożył, on mówi (*nz*) do celi. No w każdym razie nie podpisałem swojego wyroku. I potem już wielu celi wywołali i tam byli też i kryminaliści. Jak już nas wywozili z Orszy najpierw miało to być do Moskwy. Już tym *stołypińskim* wagonem, znaczy wagon (*nz*) nazywał się. I tam każda cela była okratowana oczywiście i tam mogło się mieścić jakieś tam 8 osób, a było po 20 w każdej celi. I tym *stołypińskim* wagonem nas wieźli, też słabo nas karmili, przeważnie te rybki (*nz*) i suchary razowe. (*nz*) to drobne rybki, jak szprotki, solone, trochę jakby z kiszonymi ogórkami, jakby z czym. W każdym razie paskudztwo straszne. I widać było, że jakieś tam wysokie budowle, tego, z bocznicą na bocznicę nas przerzucali i potem już powieźli do Archangielska. Mogli większy, widocznie chcieli nas do Moskwy posłać, a w końcu powieźli do Archangielska, bo tam byli kryminaliści też już, pierwszy raz ich na oczy, bo tak w celach nigdy nie. No było paru złodziei polskich takich, w Baranowiczach dwóch, jeden Żyd był. Tacy chłopcy, co po odpustach chodzili, tam po jarmarkach, po rynkach i okradali chłopów. I jeden Rosjanin. No nie pamiętam ani jednego, ani drugiego, ani imienia, nazwiska. No w każdym razie oni ze

sobą też zgodnie tam opowiadali jak, techniki te swoje złodziejskie, ale nas nie okradali. To radzieccy kryminaliście to okradali, nawet radowali, odbierali, a ci nie. No więc wieźli, wieźli nas tym, no tam z górnych półek to można było, bo tak to okna zabezpieczone, żeby nic nie było widać. Ale widać było, że tam po bagnach, kozy, małe domki drewniane różne, baraki. W końcu przyjechaliśmy do Archangielska. Tam nas wyładowano, od razu też pod konwojem, ale ponieważ to mniejsza grupa, tam było może 150, może do 200 osób najwięcej w tym wagonie, nie wiem ile możliwe było napchać, bo byliśmy napchani. I cały czas po korytarzu tam był konwój. Dodatkowy tam konwój przyjechał i nas zaprowadzili do takiego obozu przesylnego. Przesylny punkt, rozdzielczy taki obóz.

[1B, 00:25:00]

JG: Tam byliśmy jakiś czas, nas tam odwszyl, obrabowali trochę, bo to już pełno kryminalistów. I potem ładowali nas na statek w Archangielsku na Białym Morzu. Statek nazywał się *swijaga* to jakaś bogini. Był to statek oczywiście przystosowany. On na pewno woził jakieś masowe towary, bo były nabudowane prycze od dna do samego pokładu. Może z 8 pięter, bardzo głębokie to było. No i między pryczami takie pomosty. Podobno w takim statku 10 tysięcy ludzi mieści się, tak mówiła obsługa. Więc no oczywiście to nie cały statek, tylko na jakiejś tam przy drodze był i na jednej takiej przy drodze był pomost i można było wyjść i załatwić się do morza. Tam było takie urządzenie, że można było się załatwić do morza. A nam napompowali morskiej wody, tam ja właśnie dostałem biegunki. Bo te suchary zjadłem, chyba tych rybek i chyba potem do końca obozu nie jadłem, mimo że głodny byłem. I popiłem tej morskiej wody i dostałem biegunki. No tam nas strasznie okradli, strasznie. Bo tam było pełno urków już, urki mieli powiązanie z marynarzami, z załogą statku, z samym kapitanem. Myśmy tam skarżyli się, kapitan, czy tam oficer przychodził szukał, udawał, potem doszliśmy do wniosku, że to wszystko spółka. Ale wieźli nas kilka dni, patrząc na mapie co dookoła tego półwyspu Nowa Ziemia, no Barentsowa morza, morze Barentsa, ujście rzeki Peczora, port Narjan-Mar. To było chyba w lipcu. Zawieźli nas do tego Narjan-Maru wysadzili nas na piasek. Chyba zaprowadzili gdzieś, ale nie przypominam jak nas wysadzali ze statku, w każdym razie było chyba coś w rodzaju pomostów jakichś, a potem zaprowadzili, były baraki na piasku ogrodzone oczywiście drutem kolczastym wielorzędowym. I my na tym piasku siedzieliśmy, siedzieliśmy, siedzieliśmy, słońce zachodzi, nie zachodzi, zachodzi, nie zachodzi, okazuje się w ogóle nie zachodziło słońce, tylko poszło znowu do góry i wtedy dopiero dowiedzieliśmy się, że jesteśmy gdzieś blisko koła polarnego, bo nie ma nocy. Jak się okazało to właśnie w takich miejscach byliśmy gdzie albo jest długa noc, albo jest długi

dzień. No rano nam przynieśli jakieś tam kaszę, po porcji chleba, nie wiem nawet ile my tak przemywaliśmy, bo były te baraczki, można było się położyć.

[1B, 00:30:04]

JG: Ale my tyle czasu w obozie, w więzieniu, na statku, wszędzie pod podłogą, wszędzie bez okienka, bez światła bardzo chcieliśmy być na dworze, mimo że to daleka północ to lato ciepłe. A komary tak samo gryzły na brzegu, jak i może nawet mniej niż w baraku. I kilka dni chyba tam byliśmy i załadowali nas na barki. To 4 olbrzymie barki, to znaczy nie wszystkich oczywiście z tego statku, bo nie wiem czy wszyscy z tego statku do tej jednej zagrody trafiliśmy. Bo przecież 10 tysięcy ludzi to kupa ludzi. Ale nas załadowano na 4 barki, które ciągnął jeden holownik, w górę rzeczki Peczory, Peczory chyba po polsku. I to trwało cały miesiąc, ta jazda. Ja miałem tą straszną biegunkę i wiele ludzi miało tą biegunkę. Taki charakter, też była ta deska za burtą i poręcz taka prymitywna, a jeden co zapamiętałem...

[00:00:00] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-2A

JG: Jeden z naszych tych współwięźniów leżał już wycieńczony ostatecznie na pokładzie, bo już nie mógł się wspinać. I w pewnym momencie powłókł się załatwić tam do tej powierzchni takiej ubikacji i barka, ktoś tam szarpał holownik i spadł do wody. Wtedy konwojent, który stał na budce tej takiej kapitańskiej na wierzchu zastrzelił go. Że uciekał chciał, no bo holownik zatrzymał się, wyłowili, zakopali na brzegu, spisali, że próba ucieczki i został zastrzelony. W każdym razie tak ze trzy tygodnie jechaliśmy pod pokładem tej barki, do czasu do czasu, bo kolejka cały czas stała prosić, żeby się załatwić. Z jednej strony załatwialiśmy się, z drugiej strony kucharz nabierał wody, żeby herbatę nagotować i tam wrzątku, jak to się ten kipiatak nazywa. Przyjechaliśmy do miejscowości, która nazywała się Peczora i wiem, że na jednym brzegu tym od strony północnej to była Peczora, a od strony południowej, na drugim brzegu miasto Koźwa nazywało się. Naokoło w stronę rzeki Peczory...

SS: Miasto Koźła?

JG: Koźwa. I tam to już było niby zagospodarowane, bo tam był inny obóz, a Peczora to jeszcze nic nie było tak, tylko myśmy tam zaczęli się urządzać i tam na brzegu od razu badano więźniów tych i siedział taki doktor, który zakwalifikował mnie do szpitala, do lazaretu, jak to się nazywało. Doktor Lewczuk, imienia nie pamiętam, z Poznania. On był też więźniem, oczywiście i był weterynarzem jeszcze do tego. Ale on mi właściwie uratował

życie, bo po pierwsze, że zaliczył mnie do tego szpitala, a po drugie, że miał jeszcze swoich środków leczniczych, które mi też dawał. Jakoś tak polubił mnie i ja tam stanąłem na nogi. Jeszcze jeden taki mnie stary obozowy wyga powiedział, żebym ja skombinował śledzia, zjadł go nie pił wody i przestałem mieć tą biegunkę. Ja to zrobiłem, dostałem taki duży śledź, zjadłem tego śledzia i nie piłem wody, gorączkę miałem straszłą, paliło mnie, ja półprzytomny byłem, ale przechodziło. Potem jak powiedziałem lekarzowi, to mówi: *Masz szczęście, że jeszcze nie byłeś wycieńczony tak jak wszyscy obozowcy, bo by to rozwalilo śluzówkę w żołądku, bo ta błona śluzowa żołądka robi się jak bibułka papierusowa taka cienka.* A mnie jeszcze ten żołądek to przetrzymał. Ale niedługo za to byłem tam, trochę mnie ten Lewczuk przetrzymał tam, trochę ja tam pomagałem temperaturę mierzyć. A to były namioty takie duże. No i wypisali mnie. Już była jesień, wypisali mnie gdzieś na do kolumny, bo tak mówią kolonie, bo po rosyjsku – *kolonna*. A to nie kolonie były, tylko kolumna. Bo *kolonna* to jest po polsku kolumna.

[2A, 00:05:09]

Bo często czytam i wszyscy mówią w takiej kolonii. To nie jest kolonia, to jest kolumna. No i tam ta pierwsza moja kolumna w której byłem, to nazywała się numer 23 – Leśna. Leśna, tam trzeba było robić braki, i tak dalej. I tam był felczer o nazwisku Wojewódzki, ale rosyjski Wojewódzki. Wojewódzki. Rosjanin, pochodzenia polskiego, albo nieochrzczony Polak. I on też jakoś sympatyzował ze mną, dawał mi od czasu do czasu zwolnienie tam od pracy. Ale ja odmroziłem sobie tam nogi. To już była zima i odmroziłem trochę piętę, ale najgorzej duży palec, tak, że mi kości wyłaziły na zewnątrz na długich palcach. On mnie odprawił stamtąd do szpitala, najpierw leczył sam, a potem miał okazję, odprawił mnie to tego szpitala i z tego samego szpitala trafiłem, gdzie byłem, tylko już doktora Lewczuka tam nie było. mnie oczywiście tam robiono opatrunki, te kąpiele z kalium hypermanganicum. Potem inne metody mieli, przykładali bandaże i jodyną smarowali, i te bandaże się przyklejały potem tylko smarowali aż odpadnie to razem z tą skorupą. W każdym bądź razie do dziś dnia ja chodzę jak kaczką z tego powodu, że ja oszczędzałem cały czas te palce, bo potem nawet jak one się zagoiły, to mi dolegały, bolały. Jeszcze i teraz skóra złazi. I pobylem tam dłużej, poznałem się, był doktor Gmyzin z Leningradu lekarz, Dmitrij Michaił Iłanowicz, nie... Iwan Dmitriwicz Gmyzin. Bardzo porządny człowiek, oczywiście artykuł 58.10 kontrewolucyjna agitacja 10 lat, który już był jakiś czas w innym obozie i dlatego może go przeniesiono. On wybitnie kulturalny człowiek, ale też i swoją kulturę i swój umysł, to potrafił wykorzystać na przystosowanie się do obozu. To on mnie nauczył, że trzeba suche

ręce najpierw mydłem potrzebę, a potem myć ręce. Wtedy mydła tego na dłużej starcza. Wiele rzeczy praktycznie mi. I ja tam znowu u niego mierzyłem temperaturę chorym, roznosiłem lekarstwa. Zacząłem się przystosowywać, jeszcze był Kalczerza, dukier, Żyd, który zapisał się, że on Niemiec. A to nie z Polski, tylko z Kijowa. Władimir Borysowicz. Dukier. Był felczerem. No i ciągle prze to, że on Niemiec, to coraz gorszy reżim był na niego. I on mówił: *Przecież ja chrzczony scyzorykiem, przecież ja pokażę*. Nic, to do nich nic. Niemiec, Niemiec. Najgorsze. Ale jako felczer pracował, ja przy nim tam uczyłem się różnych rzeczy. No i tam, ponieważ dłuższy czas byłem tym pierwszym w szpitalu, bo jak się okazało, to był potem pierwszy szpital, to zacząłem nawet robić zastrzyki.

[2A, 00:10:15]

Poznałem wszystkich lekarzy, bo tam było początkowo pięć korpusów takich. Te namioty zostały zamienione na baraki takie z deski, między deskami trociny, już tam powstał taki lesokombinat, gdzie tartaki, gdzie deski robiono i trociny wykorzystywano. Jeszcze były namioty, bo przecież jak leżałem, to czapkę nakładałem, bo włosy przymarzały do namiotu jak leżało się na górnej pryczy. Potem zrobiono baraki wiosną. A tą zimą zimowało się w namiotach. Ja tam byłem dłuższy czas właśnie z tymi odmrożeniami, potem coś jeszcze, coś jeszcze, wreszcie wyrzucili mnie w środku zimy i pognali etapem w głąb północy. Dali nam każdemu piłę, siekierę, kto taszczył to, kto taszczył co innego. Musieliśmy sobie przerąbywać w tajdze drogę, dlatego, że tam w ogóle dziewicze miejsce było. Tylko topografowie przeszli, wytyczyli trasę. A jak padały drzewa jedno na drugie, krzyżowały się, także nieraz ze dwóch pięter tych drzew było tam nawalonych. Trzeba było to wszystko rozpiłowywać, rozrzucać, żeby można było oczyścić drogę. Wiem, że mnie trafił się partner Poznaniak, Niemiec Erich Roller, to znaczy polski Niemiec. On był silny człowiek, jeszcze taki jakoś go te więzienie nie wyniszczyło. Miał dużo siły. I myśmy się uczyli z nim przystosować, tak żeby nie umrzeć, bo przecież pod gołym niebem przy czterdziestostopniowym mrozie trzeba było nocować. Więc jak postój, to zaraz sobie kopaliśmy jamę w śniegu, mieliśmy siekierę, rąbaliśmy gałęzie jodłowe, wyściełaliśmy sobie tą jamę tymi gałęziami, kładliśmy się, swoje te waciaki, które mieliśmy nakrywaliśmy się, później czapki zawiązywaliśmy, chuchaliśmy, jeden od drugiego grzali się. W ten sposób ratowaliśmy się w nocy, wszyscy ci, którzy spędzali dzień, czy noc szczególnie przy ognisku zginęli, dlatego, że ognisko, to z przodu grzeje, z tyłu ziębi. Odwrócisz się tyłem do ogniska, tył grzeje, przód ziębi. Zapalenie płuc totalne takie, tak zwane płatowe teraz. Tam krupoznań nazywało się. Do 14 dni śmierć, żadnego ratunku nie było. Potem już jak ja znowu byłem w szpitalu i zrobiłem się takim pomocnikiem lekarza, to

robiłem zastrzyki sulfidyną. Sulfidin, który to lek powodował, że inny w ogóle przebieg był tego zapalenia płuc, lekarze nasłuchując nie mogli rozpoznać, czy to w ogóle jakieś zapalenie płuc. Inne tam były szmery, bo jak jest te zapalenie płuc te płatowe, to słycać oddech tak jakby ktoś po śniegu szedł, taki chrzęst. A to był jakiś inny szmer. Więc tak doleźliśmy do – już nie pamiętam teraz, jaki to numer był tej kolumny i tam kazano nam się budować.

[2A, 00:15:08]

JG: No więc rozczyszczaliśmy śnieg, zaraz za linię bezpieczeństwa, zapieczna zona tak zwana. No i tam stawialiśmy baraki, płot, ogrodzenie robiliśmy. Te baraki nakrywaliśmy też belkami takimi i drobniejszymi tymi i mech narzucaliśmy, potem darnię kiedyś tam, to pękło wszystko zaważyło się, pokaleczyło ludzi. A potem już oczywiście prycze robiliśmy też z okrągłaków, tylko trochę ociosywaliśmy. Tak nam zbiegło do wiosny i okazało się, że my postawiliśmy sobie siedzibę na bagnisku, ale mnie udało się albo i nie udało się zachorować na szkorbut. Dostałem wrzodów i mnie z powrotem do tego szpitala, gdzie ja już miałem znajomych. Ja tam byłem chyba więcej jak rok potem, i pomagałem lekarzom. Z wrzodów tych to mnie wyleczył kierownik łaźni Krużynin, Rosjanin. Rosjanin, który dużo, dużo lat był w obozie. A był człowiekiem, który był diakonem w cerkwi. To znaczy nie diakonem, tylko psalomszczyką, ten co śpiewa jakby.

SS: Organista jakby.

JG: Ale on śpiewał, naprawdę chciało się słuchać. I co? W łaźni beczkę miał. Gorącej wody, tego kalium permanganicum i po samą szyję ja włożyłem goły i zrywałem te skórki z wrzodów. I wymywałem to i to podsychało, podsychało i pogoilo się mi. Ja codziennie do niego chodziłem, przynosiłem z sobą tą mangansówkę, jak oni tam nazywali. I wyleczyłem się z tego, ale ze szkorbutu, to nie. Zębów nie mam, nogi miałem szczególnie prawą, tu mięsień miałem taki krwawy, że rany krwią, jakby mnie ktoś, olbrzymie uderzenie było, i twardy. Nogę mi podciągnęło, chyba z półtorej miesiąca miałem nogę kurcz taki mnie złapał i nie odpuszczał. Ból niesamowity, tu mi się zrobiła dziura taka, bo noga była, że można było rękę tak włożyć, bo noga była napuchnięta strasznie. Tą dziurę to ja wyleczyłem dopiero w Kazachstanie. Przez całe gdzieś tam w pierwszym roku dostałem tego szkorbutu. Aż do samego Kazachstanu miałem, co prawda potem w czterdziestym roku przywieźli ze Lwowa lekarzy i przyjechał taki doktor Sołtysik ze Lwowa. Nie pamiętam imienia. Chirurg. W każdym razie liczący się lekarz był, bo Lwowacy wiedzieli o nim. I mogę od razu drugie nazwisko: Roman Mochielnicki z Łucka, też chirurg. Chirurg, ale znał się na wszystkim. Tam

pełnił rolę chirurga. Roman Mochielnicki. Jego imię zapamiętałem, bo po rosyjsku Roman, to powieść. I inne tam lekarki, które tam kokietowały, to mówiły: Roman, Roman. Romans.

[2A, 00:20:09]

JG: No i on mnie poradził, bo ja już ten lek dostałem, bo aptekarza znałem. Ćwierć procentowym lapiem to moczyć, znaczy przykładac takie waciki tam, albo melle z tym roztworem i obwiązywać i zmieniać kilka razy dziennie. To mi się ta rana po pierwsze z żółto-zielono bordowej zrobiła czerwona, normalna. A po drugie wypełniła się. Już nie było dziury i trochę opuchnięcie opadło. Ale to najmniejsze, tu tylko żyłaków mi się narobiło. I teraz mało co czuję. I ten pan Sołtysik, to nie wiem jak on zniknął z mojego życia. Bo Mochielnicki, to... Bo wiele Polaków potem przyjechało w tym szpitalu jeszcze był doktor Sztajer Michał, syn Jerzego. Sztajer z Krakowa. Ten doktor Sztajer właśnie został tam, bo Mochielnicki, Sołtysik, ci lekarze, to zostali zabrani do armii Andersa, znaczy do armii wtedy Sikorskiego. W każdym razie zwolnili ich. I mnie nie puszczono. Ja już tam pracowałem jak ta wojna wybuchła, to Sztajer przybiegł, był taki dentysta, który leżał jako chory, bo coś tam przewinił się dla władzy i władza chciała go tam leczyć, a Sztajer go do szpitala, że chory. I aż on leżał w tym korpusie, w tym baraku, gdzie ja tam pomagałem pracować. Mimo, że byłem chory, a Koscia, ten dentysta przybiegł i mówi: *Kościa, Kościa Niemcy napadli na Rosję*. Gdzieś tam się dowiedział od wolnych. Ach, to się cieszyli oni, że zaraz im tu Niemcy... I za jakiś czas potem zabierali. To znaczy ten Mochielnicki poszedł, Sołtysik poszedł, taki był ze mną chory, który na karnej kolonii był i go tam złodzieje ci, urki tak pobili strasznie. To go przywieźli, że u niego ta noga trzęsła się kilka dni, tak mu nogę. Tam jemu te rany pozszywali, połatali, ale noga była bezładna i on leżał chyba z półtora roku zanim go wywołali do wojska. Ja wiedziałem, że on się modli. Ale ile komisji jego badało, nikt nie mógł. On wycierpiał i przypalanie, i kłucie, i nieoczekiwane jakieś ukłucia jakieś, czy czymś. A robił piękne szachy z drzewa. Kiedyś tak siedzi, robi te szachy. A ja tak jemu oczywiście tak bosą nogą na bosą nogę nastąpiłem, on tylko tak spode łba zerknął na mnie. A ja udałem, że ja nie zauważyłem, że on zerknął, ale wiedziałem, zawsze jemu pomagałem. Upredzałem go, że mają znowu go badać i tak dalej, bo on się musiał przygotować. Moralnie przygotować, bo co więcej do tego. Jeszcze lekarze bardzo go lubili, bo każdy dostał piękne szachy malowane z chleba.

[2A, 00:25:00]

Przynosili mu ten chleb, także nikt nie starał się jego tam ani złożyć, ani mieliśmy lekarzy jego w jakiś sposób tam denuncjować. I strasznie się wszyscy obrazili, że jak wywołali jego nazwisko do armii Andersa, właściwie Sikorskiego, to on rzucił te kule i pobiegł. A on w nocy, żeby ta noga mu nie uschła, czy co, to w nocy sobie zawsze pod kocem zawsze masaż robił. A to chodził do o kulach do ubikacji, czy coś to włożył tą nogę tak ciągnął straszliwie, aż patrzeć było przykro. I w ten sposób myśmy zostali. Był jeszcze taki ze mną Żyd z Tarnowa, albo spod Tarnowa, Leon Kornic. Który też tam uczył się na takiego lekpoma, razem wspólnie pomagaliśmy. A ten z nogą to się nazywał Zygmunt Kornaś. A jego tam nazwisko przekęcili na Karnacz. A on faktycznie Kornaś się nazywał. Bo niewielu ludzi mówiło swoje nazwiska prawdziwe. I z tym Kornicem, to myśmy opiekowali się był taki hrabia Szęsny Tarnowski, który miał z wycieńczenia chorobę, którą nazywano plagrą. I już po tym, że jego nie puszczono do armii, to on takiej psychozy dostał, dostał rozdwojenia jaźni, demencję taką miał. Myśmy się nim opiekowali, staraliśmy się dostać jemu takiej koniny świeżej, żeby mógł, żeby tej witaminy jakiejś dostać, ale nic nie udało się, szczególnie po tym załamaniu on, ja wiem, kiedy zabierali go do armii. W każdym razie, że on umarł. Jeszcze powiedział mnie osobiście, żeby jak trafię do Polski, żebym powiadomił Warszawa Al. Jerozolimskie 50, ale tam nie było domu na tych Alejach Jerozolimskich 50. A ponieważ był nafciarzem ze stryja, gdzieś tam stryj miał przemysł naftowy, to napisałem do „Przekroju”, że taki i taki był ze mną w obozie i że on umarł, prosił, żeby powiadomić rodzinę. „Przekrój” mi nie odpowiedział jeszcze. Mimo, że tam był jeszcze ten redaktor Ejler taki porządny człowiek początkowo. Także ja to w ogóle więcej nikomu nie mówiłem o tym. Ja osobiście w momencie, kiedy można było trafić do tego wojska, to byłem właśnie tak zgnębiony tym szkorbutem, że mnie tam niby mógłbym pojechać, ale lekarze mi odmówili. Potem dano mi tam wyższe jedzenie, lepsze ubranie, które miał sprawdzić ale nic z tego nie wyszło.

[2A, 00:30:00]

W tym czasie Anders wyprowadził część wojska. Potem na najgorszy reżim posłano jako andersowca, a ja w ogóle o Andersie nic nie wiedziałem nawet, on tam w Nowogródku czy gdzie był pułkownikiem, czy czym, skąd ja mogłem czegoś wiedzieć, a mścili się na nas, tych andersowcach strasznie. I w ten sposób zostałem po tym jak brali do tych kościuszkowców to w ogóle u nas w obozie nie było słyhać i nawet nie słyshałem, żeby kogoś wzięli. To ich zbierali tam gdzieś, gdzie bardziej miękko. Może z zesłań, tych zesłańców z Syberii. Od nas z obozu nie przypominam, żeby kogoś wzięli, bo w ogóle nawet nie było słyhać o tym. A

jednak już byłem na tyle obeznany z obozem północnym, że bym usłyszał coś. I znowu mnie stamtąd w jakiś sposób wywieziono, bo to zawsze tam te NKWD...

[00:00:00] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-2B

JG: Więc właściwie przez. Do roku, do grudnia 1944 roku przebywałem w Pieczorłagu, który rozciągał się od rzeki Pieczory do miasta Abiż. Co prawda byłem też i w *(nz)* i w *Winclagu*, ale tam nigdy nie zagrałem miejsca z uwagi na to, że był skorbut nie przyjmowano mnie. Tam bardziej zdrowych ludzi. Nad Pieczorą, między Pieczorą, a Morzem Barentsa i Morzem Karskim było wiele obozów. Między innymi, czyli ten mój podstawowy, w którym ja byłem *Pieczorlag*. To wszystko kolejowe, koleje budowali. Był *Pieczorlag*, *Inclag*, gdzie między innymi kopalnie były węgla i *(nz)* gdzie lepszy węgiel był. W końcu tą kolej dobudowano aż do *Andermyts* nad Morzem Karskim. Nazywano *Karskie Warota*. To już po wiecznej zmarzlinie kolej tam była zbudowana. *Anderba* to już na wiecznej zmarzlinie miasto. Tu jedna ziemia, w *Pieczorłagu* ziemia odchodziła, odtajała, nic tam nie rosło. Chciałem też powiedzieć, że był jeszcze *Ustimlag*, bo oprócz rzeki *Pieczora* była jeszcze rzeka *Usak*. Nad tą *Usą* był *Iżmlag*. Kilka takich obozów. A do 1944 roku, do grudnia byłem właśnie w tych obozach. Między innymi w karnej kolumnie numer 95, na 95 kilometrze. Miejscowość nazywała się, stacja kolejowa nazywała się *Dżyn tuj, Dżyn tuj*.

SS: A zakład karny?

JG: Słucham?

SS: A zakład karny?

JG: No andersowy i coś dalej. Ale tam na szczęście trafiłem do człowieka, którego znałem wcześniej, naczelnik kolumny. Narkomana, który jak ja byłem w innym szpitalu, to mu kiedyś pomogłem z opium po prostu. Był w takim szoku bez narkotycznym. Mu pomogłem. Trochę opium dałem, trochę takich leków, jak kadeina i tak dalej, które też trochę opium zawierają. On się tym leczył. Także zobaczył mnie tam i od razu kazał mnie, że bym poszedł na punkt medyczny i tam pracował. I temu felczerowi kazał bo w między czasie jeszcze zyskałem felczerskie kursy i zostałem zaliczony do specjalista, do specjalisty obozowego, medycznego w felczerach. Miałem na formularzu pieczęć „Mec Felczer”. Byłem w takim szpitalu nr 2 w Kielkach, doktor Kac, Józef *Bensjanowić, Josif Bensjanowicz* po rosyjsku, Kac, z Omska. On był w *(nz)* czyli gruźliczym lekarzem. On mi dużo właśnie pomógł i ponieważ nie było komu leczyć tych ludzi, robić zastrzyków, a ja to wszystko umiałem i

jeszcze kilku kolegów. Więc on stworzył kursy i pozdawaliśmy egzaminy, i zostałem felczerem.

[2B, 00:05:11]

JG: To mnie bardzo uratowało, że właściwie mnie, a przeze mnie i wielu innym ludziom, a zwłaszcza tym, którzy byli dostarczeni w 1944 i 1945 roku. No więc ja był, tam były kamieniołomy na tej kolumnie 95 i wapno wypalano, a kamienie to poładowano na pociągi. Tam była wąskotorówka, szerokotorowy kolej. Tam przeładowywano na (nz) kolejowej. Później na budowę mostów i różnych rzeczy. Kamień wapienny oczywiście. Olbrzymie takie były te, kariery nazywały się. Między innymi i była brygada tych, którzy z linami, (nz) zakładali i wrywali to. A później się rozbijało na drobniejsze. Też i drobne kamienie szły, no i część wybudowane były piece i tam wypalano wapno też. Natomiast już mniejsza robota była przy ładunkach tego wapna bez zabezpieczenia, co żarło i oczy i usta i wszystko. No i była leśna kolumna też. Ja tam byłem tym felczerem, znaczy pomagałem u takiego Aleksander Tomakułow, był felczerem. A to był według mnie, chociaż nigdy się nie zdradził, ale albo uczył się w seminarium na popa, albo był mnichem. Stałe takie rzeczy mówił, trochę kropnięty był i chyba był pedałem mówili mi. Takie rzeczy mówił, które podejrzewałem zawsze, że on ma jakiś związek z religią. Chociaż strasznie na tą religię kłął. No i jakiś czas potem jego gdzieś tam wywieźli, a ja zostałem. No i odesłał taki sanitariusz Dumka, on był Huculem, nie Huculem, w każdym razie takim Ukraińcem podkarpackim gdzieś. Czy naszym, czy może słowackim. (nz) bo jego tam chyba napastował w tych sprawach. W każdym razie tam ja spędziłem długi czas. Umiałem jakoś sobie radzić bo tam było strasznie dużo urków. Tych najgorszych, prawdziwych, uczciwych złodziei jak to nazywali. Ale jakoś umiałem sobie z nimi radzić bo tych głównych bandytów, to zawsze coś im pomagałem i oni pilnowali żeby mnie nic złego się nie stało. Ale jak mnie stamtąd wyrzucono, to potem, a trafiłem do 4-ego lazaretu między innymi, gdzie był lekarz, Gmyzin, u którego byłem tam kiedyś w pierwszym lazarecie. I była pani doktor Sofia Isaljewna Boczkowa, wdówka, z którą też pracowałem. Ona była staruszka i pomagałem jej w takich sprawach, w których nawet felczer nie powinien robić. Lekarze powinni, ale że ona już była naprawdę starsza kobieta, jeszcze z obozów, *Kawežedeesu*, znaczy tam gdzieś w Mongolii. Oni to byli posądzeni, że sprzedali jakąś dziką tą, kolię żelazną tam jakoś na Mandżurii, czy coś tam.

[2B, 00:10:01]

Straszne obciążenia mieli ci ludzie. Ja właśnie tam bardzo dobrze kwitłem. W tym szpitalu numer 4 pracował słynny też pan w obozie, Polak, żyd polski, Willner Oskar, jako felczer, z którym tu w Polsce spotkałem się.

SS: Wilder?

JG: Willner, przez dwa L. Przez dwa L, Willner Oskar, z Tarnowa. I właśnie tam, w tym szpitalu nie byłem bardzo długo, ale kilka miesięcy. Przyjeżdżali do mnie, prosili żebym ja z powrotem na tą kolumnę 14-ty pojechał, na tą kolumnę na 95-tym. Ona była 114-cie, a kilometr 95-ty, przepraszam. Numer 114, na kilometrze 95-tym. Żebym ja tam znowu pojechał bo tam 2-óch ludzi mało nie zabili, puciekali. Przez płot nawet rzucili się, przez płot pod bocianą tą wierzę żeby ratował ich strażnik, który na wieży stoi. Bo prawda, jak jest tam prostokąt, czy kwadrat teren baraków, to na 4-ech rogach stoją żołnierze, strażnicy. No ale ja nie zgodziłem się bo było mi tu dobrze, ale nagle w grudniu wydano mnie na wolność. No a urzędnik, który właśnie te sprawy załatwiał, znaczy takie biuro ewidencyjne, tzw. *Pomprotrodu* był dobrze mi znajomy, bardzo z nimi przyjaźniłem się, mówi: – *Sluchaj mogę ciebie tu zostawić bo nie wiadomo jak ta wolność.* Ja mówię: – *No tak, ale jest jakieś 10 procent możliwe na to, że mnie puszczą?* Bo wyrok mi się kończył. A on mówi: *10 procent to jest.* To ja mówię: – *Skorzystam.* I wysłał mnie on. Wsadzili mnie znowu do (nz) wagonu. Tam spotkałem między innymi jednego mojego byłego naczelnika, wolnego, który się znęcał nade mną, ale ja nie triumfowałem. Ja jakieś wykroczenia, jego też posadzili. Przywieźli mnie do Peczory. W Peczorze trafiłem na tzw. *przesylny* punkt, gdzie był felczerem Krasow, kolega mój, z którym kiedyś w pierwszym lazarecie pracowaliśmy razem i z jego żoną. On się już uwolnił w końcu wyrok i jego żona skończyła wyrok. Pomijamy jak ona się nazywała. I oni jako wolni pracowali tam. Mieli duży ten, punkt medyczny. Między innymi nieduży szpitalik, na kilka osób taki. I on mnie mówi, znowu przestrzegał, mówi: – *Nie wiadomo, co to będzie. Ja ciebie mogę zostawić i będziesz u mnie pracować, ciebie nie ruszą jak na wolność pójdziesz.* A ja mówię: – *Ale jest jakaś nadzieja. Przecież ja wyrok kończę.* To był grudzień a 7-go stycznia 1945 kończył się mnie wyrok. A mnie kierowali do *Sierzeldorlag*. *Sierzeldorlag*, to po drugiej stronie Peczory był obóz tej nazwy, której kolej prowadził od miasta Kotmaz do Kozły do rzeki, do brzegu rzeki Peczora. Tak więc wsadzili mnie znowu do wagonu, zawieźli na stację Iżma. Nie, do stacji Tieżpogost, gdzie było główne *uprawlenie* tego obozu, *Sierzeldorlagu*.

[2B, 00:15:06]

Tam na przeciwny punkt przyjechałem i trzymali mnie tam, trzymali. A tam ciągle ganiłi na różne roboty oczywiście. Ja ciągle upominałem się, że już wyrok mi się skończył i że mnie tu na wolność przywieźli. (nz) oni się śmiali ze mnie. Przeszedł ten 7-my stycznia, przeszedł chyba styczeń. Wreszcie wezwali mnie i mówią, że mam siedzieć do końca wojny. Do końca wojny, no i zesłano mnie na taką kolumnę obok tego przecudnego punktu. I tam po prostu byli tacy słabi. Naczelniczka sanitarnej części, Wolna, powierzyła mnie żebym ja tam opiekował się pod względem zdrowotnym tymi ludźmi i żebym ich do gimnastyki. No ja tam robiłem i tam zastał mnie 9-ty maja. Taki jeden znajomy, Maciej, nie pamiętam nazwiska, ale ruski, Matwiejc, przyszedł, ucałował bo też *felesyjczyk*. Całował się ze mną, a on był tam gospodarczym takim. Całował się bo tu nieraz był gospodarczym, to żołnierze, konwojenci lubili jego bo on zawsze mógł coś dać im do zjedzenia. Całował się ze mną, dowiedział się przez radio w nocy, że wojna się skończyła, pojedziemy do domu. Nie pojechaliśmy do domu, dłuższy czas kręcili nami. Aż wreszcie do specjalnego zagrodzenia zostawili. A jeszcze w tym *Sierżeldorlagu* byłem w różnych miejscach. Najwięcej w okolicy stacji Iżma na różnych kolumnach. Raz pod wozem, raz na wozie, dużo ludzi. Między innymi taki doktor Makarewicz, który tu w Białymstoku był ginekologiem przez szereg lat. Tam spotkałem się z nim. I chyba doktor Dzieczkaniec, który gdzieś w suwalskim.

SS: Nazwisko?

JG: Tamten Makarewicz Leon, a ten Dzieczkaniec. O nich się otarłem. Poza tym kiedy byłem w jednej z kolumn, a już przywieźli Polaków nowych. Prawda po 1944, 1945 roku. A ja szukałem białostoczan. Stary, już obozowy wyga, prawda. No i natknąłem się na faceta, który moich profesorów znał w Białymstoku, a sam z Brześcia. Okazało się, że on był wizytatorem, kuratorium było w Brześciu na Białystok i on znał moich profesorów gimnazjalnych. Ja jego za łeb, do siebie, zrobiłem go swoim sanitariuszem jak byłem tym kierownikiem mec punktu, felczerem. I kantował się u mnie tam. Więcej zupy dostał, dla mnie przyniósł. Pan Kobyłański, w tej chwili już zapomniałem jego imię. Jedyne człowiek, nie żyje już, który wrócili do Polski, do Białegostoku, odnalazł moją matkę i pytał czy nie trzeba jej pomóc czegoś. Po swoim powrocie on był dyrektorem liceum dla pracujących na warszawski. Potem zmarł, ale jeszcze kilka lat ja z nim spotykałem się. No i między innymi tam była komisja i jego do *szłapkomandy* na 2 miesiące posłali, na poprawienie się.

[2B, 00:20:00]

JG: Jak wrócił z tej *szlakomandy*, to jego znowu wziąłem z powrotem. No a potem owinęła mi się noga, mnie pogonili stamtąd, więcej go nie widziałem. Natomiast dopiero będąc na kolejowej takiej brygadzie. *Podkomendorowka* taka była, nieduża. To tam byłem i felczerem i gospodarczym i dla kuchni jadłospisy kalkulowałem i wszystko. Wszystkim takim byłem. Nagle dowiaduje się, że przyszło to (nz). To ja do pomocnika ? jakoś się skontaktowałem, mówi: – *Słuchaj, załatw mnie, żeby w pierwszej kolejności mnie zwolnili*. On mówi: – *Dobrze, tylko wódka*. To ja pojechałem do apteki, gdzie miałem znajomego lekarza i on mnie dał pół litra spirytusu. Wypisał, wypisałem ja, on wiedział, na leczenie tam jakieś. Między innymi ropami. (nz). I on mnie załatwił zwolnienie, 11-ego września 1946 roku. Tak, tak. 11-tego września 1946 roku wezwali mnie do 2-jej części, do Iżmy. Ja się stawiłem, no pytał mnie to (nz), a już grzeczny był do mnie bo dostał tam te pół litra spirytusu. No ale mówi: – *Ale my pana nie puścimy do Polski. Ma pan do wyboru 11-cie obwodów*. A ja mówię: – *Jakże? Jak przecież skończyłem wyrok, odsiedziałem 1,5 roku dłużej*. On mówi: – *Tak, ale dopiero po 3-ech miesiącach od zwolnienia może się pan ubiegać*. Tak mnie zbajerował. No dobrze, wybrać. *Jakucka ASSR, Bierkucka Oblać, Czukotka, Magadan*. Cała północ. I Kazachstan. No dla mnie, to Kazachstan olśnienie. Kazachstan. Tyle czasu na północy. Oczywiście i komitet ASSR trzeba było (nz). Człowiek tyle znajomych miał, może by wcześniej przyjechał do Polski. No ale wybrałem ten Kazachstan, mówi: – *A jaka miejscowość?* Ja mówię: – *Ja tylko z geografii jak kiedyś uczyłem się, to widziałem, że w Kazachstanie stolica Almata*. Więcej ja to nic, pokazać, tam ja nic nie wiem. A on: – *Almata nie można bo to stolica, a w obwodowych miastach nawet nie można*. No to gdzie? Ja mówię: – *Nie znam*. Bierz pan mapę i palcem trafimy gdzieś. On mówi: – *Parę dni temu do Tałdykorganu wyjechali*. Ja mówię: – *To proszę bardzo Tałdykorgan*. No i zaraz mi tam dali żywność na 12-cie dni.

SS: Jaka miejscowość Tałdykorgan?

JG: *Tałdykorgan*. To wybrałem tą miejscowość.

SS: Tak, tak. Dobrze.

JG: I wtedy. Zaraz, a jeszcze jeden Chińczyk się ze mną zwalniał razem. Tien Si Min. Tu jeszcze (nz) to nasza nazwa dla niego. No i my zaraz na stację, a tam było tak, że pociągi w parzyste dni idzie na północ, w nieparzyste na południe. Akurat mam dzisiaj pociąg na południe. Ja do kasy, miałem trochę pieniędzy na koncie i wydali mi. Ja do kasy, biletów nam nie dali. Ja do kasy, nie ma biletów.

[2B, 00:25:00]

To ja z odwrotnej strony do kasy: – *Ile do tego Kułganu dwa bilety?* No tyle i tyle. To ja zapłaciłem. Pociąg przyjeżdża, my do pociągu, nie wiemy. Dognaliśmy tych, co parę dni temu, o oni nie dostali biletów i potem nieparzysty, parzysty dzień był i tak dalej. No i jedziemy we czwórkę: dwaj Niemcy, Chińczyk i ja. Jeden z nich nazywał się Bauer, pochodził z Powołża, drugi Marks pochodził z Kaukazu, północnego Kaukazu. I tak jechaliśmy do Kierowa. W Kierowie przesiadka na Świeżwost. No powiem tak bo trzeba skrócić się: Kirow, Świdłosk, Omsk, Tomsk, Tymień, Nowosybirsk, Cymipalasińsk, do stacji Usztobe. W Usztobe wysiedliśmy i w Usztobe mój Chińczyk znalazł swoich Chińczyków, poszwargotał z nimi, przychodził do mnie, przyszedł do mnie (nz): – *Ja mam tu znajomych Chińczyków, tu można przejść do Chin, ja chcę tu zostać.* Ja mówię: – *Proszę bardzo, twoja sprawa, Ty walczysz o życie i ja walczę o życie.* Trochu mi było przykro, że znalazł wolnych Chińczyków i nie postarał się, żeby nas pokarmili chociaż. W ten sposób z Usztobe, z Usztobe do Tałdykurganom nie było żadnej komunikacji, tylko trzeba było iść piechotą 45 kilometrów. My w tym dniu uszliśmy pół drogi, pod słupem telegraficznym przenocowali. Drugie pół drogi do samego Kurganom, oczywiście żadnego jedzenia. Po drodze znaleźliśmy kilka buraków cukrowych, co powieziono do cukrowni. To są straszne rzeczy, ale trzeba jeść. W całej Kugani przez całe 5 dni nas wałkowali, w NKWD dopóki nam dali skierowanie do sowchoza numer 1 NKWD w miejscowości Koksunk. Tam w tej miejscowości, do tej miejscowości trzeba było jakoś dojechać, więc nam wytłumaczono, że trzeba znowu na stację Tałdykurgan zajść, a stamtąd do stacji Sala Ryozeck. No więc z tej, do tej stacji Tałdykurgan nam ludzie poradzili, żebyśmy poszli tam na bocznice do cukrowni, tam przyjeżdża pociąg wyładowywać na bocznice, na nasyp ziemię. I, że nas mogą tam posadzić do tego pociągu. No więc pojechaliśmy tam, rozładowaliśmy dwa wagony i nas zawieźli do stacji Tałdykurgan. Tam też były różne problemy, ale zajechaliśmy do stacji Saryzyk. Tam kilka dni mordowaliśmy się. Zanim znaleźliśmy bazę tego sowchoza, gdzie nam trzeba. I tam dopiero z tej bazy, z sowchozu przyjechał, samochód coś zabierać i nas zawiózł do sowchozu Koksunk. Tam ja przez 10 lat potem.

SS: Lat?

JG: 10 lat byłem w sowchozie Koksunk, na pierwszym (nz).

SS: Jako kto?

JG: Jako robotnik fizyczny.

SS: Kiedy Pan wrócił do Polski?

JG: To nowy rozdział. Wróciłem do Polski dokładnie 9-ego listopada 1956 roku, a do Białegostoku 11-ego listopada 1956 roku. To był ten gomułkowski przewrót już tutaj. Nadałem telegram do domu z Siedlec, że przyjadą tej o tej godzinie. Matka i cała rodzina, przysłała na dworzec.

[2B, 00:30:08]

JG: To jak matka zaczęła tam swoje powitanie, to zgromadzenie się zrobiło, wszyscy płakali. W tym rzędzie ja. Ja strasznie bałem się, żeby nas nie zgarnęli z powrotem do Rosji. Prędzej dwoma taksówkami przyjechaliśmy. Panie tu do tego domu, to matka miała tylko ten pokoik o. Pokój i kuchnia, ten piec był, to ja dobudowałem sobie, tu też przerobiłem, tą szafę kupiłem. Ta szafa pochodziła z, wyszabrowana była na Mazurach czy gdzieś, a ja ją odkupiłem od jednej znajomej pani, która sobie już nowoczesne meble i (nz) do dziś. I dopiero jako epopeja kazachstańska, którą lepiej pamiętam. I tam znajomych dużo mam, dużo z Niemców stamtąd teraz wyjeżdża do Niemiec i niektórzy już wiele lat, dlatego że do mnie piszą. Byłem przyjazny dla wszystkich ludzi.

[00:00:00] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-3A

JG: Do Kazachstanu przyjechałem od strony Nowosybirska. Drogą żelazną, czyli koleją Turksip. Turkmańsko-Syberyjką trasą, budowaną tak samo przez aresztantów. Więźniów reżimu jak i była budowana Pieczorska i inne koleje w Związku Radzieckim. Więc od Nowosybirska przez Simipałacyń, gdzie teraz poligon atomowy jest. No i docelowa stacja Usztobe. Już jak wspominałem tam rozstałem się z swoim kolegą Chińczykiem, Miszą przez nas zwanym, a jego nazwisko było Ten Si Min. I on tam spotkał Chińczyków, którym powiedziałem, powiedzieli mu, że jest możliwość przejścia na stronę chińską. Chiny jeszcze wtedy nie były całe czerwone bo to był rok 1946. Pożegnaliśmy się, poszliśmy do Tałdykurganu piechotą, 45 kilometrów. Wyruszyliśmy po południu i nocowaliśmy w stepie. Dopiero na drugi dzień zaszliśmy już do Tałdykurganu. Dostaliśmy skierowanie do sowchozu też MWD, czyli Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Tam już wkrótce opowiedziałem, jak żeśmy się dostali do tego sowchozu. I może zacznie od tego, jak w tym sowchozie zaczęliśmy życie.

Kolega, który nas dogonił w Tałdykurganie i z nami dojechał do stacji Saruzek, przy próbie wyjazdu ciężarówką, ukrył się w ciężarówce. Nas wysadził bośmy nie mieli pieniędzy. I on dojechał parę dni wcześniej do sowchozu. Trafił na 4-ty odcinek odległy od tego odcinka, gdzie nas zatrudniono o jakieś 30-eści kilka kilometrów. 30-eści kilka kilometrów w górach, to poważny kawałek drogi jest. My po przybyciu, na 2-gi dzień dostaliśmy skierowanie do wsi Koksun. Zielona Woda, tak rzeka nazywała się, górską i tak ta wieś. Tam główna siedziba tego sowchozu była. No nas przyjęli, formalności załatwiliśmy, dano nam furę i tą furą wróciliśmy. Z tym, że taki Bauer Bogdan, starszy od nas. Miał wtedy 40-eści, 40-eści parę lat, kiedy ja miałem 25. Został od razu zaangażowany na koniucha, na dworze konnym. Tam, gdzie zatrzymywali się dyrektorzy i sztab sowchoza, skąd dostawali znaczki swoje tam bryczki. I tam się, i dobrze mu się tam powodziło. Może od razu powiem, że później ktoś mu tam zrobił świństwo. Nasypał szkła do żłobów koniom i posadzono go o sabotaż, że chce zniszczyć konie i wyrzucono go i Tam z tego miejsca pracy. I skierowano go na nasz odcinek. 1-szy, największy właściwie w owym czasie bo jeszcze był taki 3-ci odcinek, który składał się z kilku wsi, z kilku pododcinków. A nasz był jedną wsią plus 2 fermy oddalone o 1,5 kilometra w jedną i w drugą stronę od tego osiedla Kosagacz.

[3A, 00:05:06]

Na fermie oprócz tego, że były, jedna ferma, to miała oborę na 100 krów, plus rodzilne, plus cielętniki takie, gdzie cielaki wyrastały do 6-ciu, 8-miu miesięcy. I druga ferma, druga brygada tej fermy miała tylko oborę i rodziły się też, rodzilne miała. Także krowy cieleły się. Początkowo byłem zatrudniony w takiej brygadzie do różnych prac. Przeważnie pracowaliśmy, było to już po żniwach, ale zostały stogi, serty ze zbożem. Bo przedtem zanim kombajn wyruszy na pole, to obkaszano dookoła miejsce, żeby kombajn mógł jeździć. I to składowano do stert. I właśnie potem, już ja przyjechałem 5-ego października, to już było po żniwach i myśmy podawali z tych stert zboże do kombajna i kombajn młócił. Naturalnie nie umiałem tego robić, ale szybko zrozumiałem, że nie trzeba szarpać ze serty, a tylko brać to, co bliżej leży. To też, każda praca powinna polegać na rozumowaniu. Jaka by nie była trzeba ją zrozumieć. Wtedy dopiero lżej się pracuje. Jakiś czas, póki to obkosiliśmy, to zawsze była kilkoosobowa brygada. Kobiety popychały te zboże do bębna, a myśmy zrzucali ze *skiedy* na taki niby stół, na taką platformę skąd te kobiety roztrząsały. Jak już chciało się odpocząć, to większą taką porcję wsadzało się i wtedy bęben się zabijał, kombajnista ładnie kłął. No zatrzymywano, on musiał rozcinać te słomę, która nawinęły się na zębatki, a myśmy sobie odpoczywali. Ja jeszcze wówczas paliłem papierosy, więc to był tzw. *pierekur*. Potem jak to

się skończyło, posłano nas z powrotem do Koksun. Tam mieszkaliśmy w takim baraczkach i chodziliśmy do wąwozu skąd wypływała rzeczka *Koksun*. Tam rąbaliśmy różne brzozy, które nadawały się albo na *cholobla*, albo na dyszel do fury i tak dalej. Przeważnie właśnie chodziło o brzozę do transportowych tych celów żeby zrobić. *Sowchoz* miał również specjalistów i kołodziejów, i kowali, i bednarzy. Wszystkie specjalności. Nawet był rymarz też, na naszym na przykład oddziale. I przy naszym oddziale były też, nazywało to garażem, ale to były mechaniczne warsztaty, gdzie reperowano traktory, kombajny i inne maszyny wiejskie. Tam mnie bardzo nie szło to bo po 1-sze byłem źle ubrany, a jeszcze po górach, po tych kamieniach łąząc do tych brzózek, to zdarłem swoje buty obozowe i inaczej po prostu chodzić. Dano mi gumowe buty, w tym sowchozie, ale nie miałem onucy. Zima, już śnieg, mróz.

[3A, 00:10:03]

JG: Przez dziury w butach gołe nogi wyglądały. Zachryłem, straciłem głos no i zlitowali się nade mną i posłali mnie na fermę do brygady. Byłem takim na podmianę oborowym, który podmieniał oborowego. Bo to był zimą oborowy, latem pastuch. Oborowego podmieniałem, podmieniałem podpaska. Podmieniałem oborowego, który buhajami się opiekował, bykami narodowymi i tą dziewczynę, co przyjmowała mleko i mlekowoza, czyli faceta, który mleko woził do mleczarni. Urlopy, albo i też dni wolne dawałem im. Często mnie odrywano też do innych prac, gdzie trzeba było coś innego zrobić, czy przywieźć coś. Ale w zasadzie, to była moja praca. Nawet dosyć polubiłem ją. Każda brygada i cała brygada na naszym tutaj, gdzie ja pracowałem miała 100 krów i zawsze kilka krów zapasowych. No i było od 5-ciu do 7-miu buhaji, które były wykorzystywane do sztucznego unasieniania krów. Bo był też tam i obiekt taki, gdzie unasieniano krowy. Byłem oborowym przez jakieś 1,5 roku, ale to był rok 1946, więc w 1947 roku, jesienią skierowano mnie, z tej pracy musiałem odejść. Skierowano mnie w góry, aż na chińską granicę. Tam duża brygada z różnych jednostek była. Skierowano nas tam do wyrębu lasu bo tu w pobliżu, gdzie my mieszkaliśmy, to w górach były tylko takie kosodrzewiny, których można było sobie trochę narąbać, żeby na rozpalenie. Opalało się i gotowało na nawozie, *kiziek* tak zwane. Robiło się z nawozu cegielki, wysuszało się i potem to paliło się bardzo dobrze w piecu. Więc ja, tam w tych górach to około miesiąca byliśmy, ale jak już było, była groźno naszykowaliśmy oczywiście tych pni, które były potem spławiane na wiosnę jak woda wysoka w rzeczkach górskich. I musieliśmy wrócić przed śniegiem. Co prawda tam na, gdzie przez przełęcz trzeba było przejść, tam był już śnieg, ale już na. Bo tu z boczami drogi się jechało, z tym, że kto jechał na koniu musiał bardzo uważać

bo konie są płochliwe i można było runąć w przepaść. Większość, między innymi i ja jechaliśmy na bykach, na wołach przepraszam. Bo po rosyjsku byk, po naszymu na wołach. Wół to boi się i nigdy nie ryzykuje blisko krawędzi, czy coś. Także jak drogi wąskie są w górach do wywożenia siana, to też woły nie włączą do przepaści. Zawsze jakoś tam dobrze wychodzą. Więc po tym powale, powróciliśmy z lasy. Dali nam tam po 2 dni wypoczynku. Ja wróciłem z powrotem na fermę, ale tam brygadzysta był bardzo porządny taki facet. No opiekował się mną jak ojciec. Z tym, że ja akurat nie mogłem pić mleka.

[3A, 00:15:00]

Dlatego że ja poprzez pobyt w obozie straciłem te enzymy tam w żołądku, które wytwarzają podpuszczkę. Mleko nie może być strawione, jeśli nie ma tej pepsyny tam. Ja tak do końca, 10 lat tam byłem, nigdy mleka nie piłem. Mimo, że potem miałem swoją krowę. Kwaśne mleko jadłem. To myśmy tam jeszcze z jednym takim Łańko Kellerem sobie pobieraliśmy dla psów. Znaczą chude mleko kwaśne dla psów braliśmy, w stanie kwaśnym. Przedzaliśmy to przez *merly* i jedliśmy ten twaróg. A dla psów, to każda dojarka musiała dać po litrze mleka pełnego, od udoju. Karmiliśmy bo mieliśmy 2 psy u siebie. A ponieważ ja ich zazwyczaj karmiłem bo ja nie miałem żadnych innych obowiązków. Ani domowych, ani nic, to ja się zajmowałem tymi psami i oni potem, jak przyszła wiosna i trzeba było paść w górach, to one zawsze za mną chodziły. A stado krów, 100 krów, między koniczynami, między zbożami bo w górach tam na płaszczynach wszędzie były posiewy. To bardzo trudno paść. Ale jak krowy wiedza, że jest pies, to nie oddali się żadna od stada. A jeżeli tylko troszkę zboczy, to pies ją postraszy i ona z powrotem wraca. Także miałem bardzo dobre samopoczucie z tym. Potem przez jakiś czas byłem, ponieważ byłem tym podmiennym, więc, a latem jak jest praca taka natężona, to nie dawali nikomu wolnych dni. Mnie jako podmiennego zabierali do prac polowych. W górach tam bardzo dużo, to był sowchoz hodowlano-produkcyjny. Zboże tam produkowali. I właśnie, ale przeważnie też dla hodowli. Były fermy świń, fermy mleczne i trzeba było bardzo dużo koniczyny i lucerny siano. Tam była gleba taka dobra, że bez nawozu co roku można było siać, sadzić i wszystko rosło, ale trzeba było polewać. A polewać, to tak jak to się mówi w Kazachstanie, woda na górę płynie, do góry płynie. Dlatego, że po zboczach góry jak robiło się takie bruzdy, wydawało się, że ta bruzda to jakoś idzie do góry. Nie ma poziomu. Mieliśmy tam, potem on uciekł też.

Może wrócę jeszcze do historii tego sowchozu. Ten sowchoz był Kazachów bardzo dużo, dawnych Kirgizów. I najpierw oni tam byli, a potem w 1931, 1932 roku. W 1930, początku

1930. Znaleźli tam Kułaków z Pomorza. Byli to przeważnie Niemcy pomorzańscy, ale było dużo Rosjan i Mordwinów. Tych ludzi przywieziono, a w tych latach *sowchoz* zajmował się sianiem maku i zbieraniem opium. Ale potem troszkę większa cywilizacja powstała i zaczęli właśnie to hodowlane sprawy i inne. No Niemcy kułacy. Kułak, to jest ten pracowity człowiek, który miał więcej inni, dorabiał się. Więc pracowitość u nich została i oni w sowchozie byli pracowitymi ludźmi.

[00:20:00]

No i ci Kazasi stopniowo puciekali do kołchozu, kto do wojska, kto jak. Tylko jeden był właśnie taki *Maksus*, który umiał wyprowadzić tą wodę. On się kładł na plecy i wiedział, gdzie jest niżej. No i te bruzdy wyprowadza takie rzeczki, coraz węższe wyprowadzano na pola i całe pole były przecinane bruzdami. Po prostu między którymi było zboże albo właśnie lucerna czy konieczyna. I nas posuwano na polowanie. Dostaliśmy gumowe buty wysokie i do takiej bruzdy braliśmy snopek słomy, obwiązywaliśmy go mocno i jeszcze przywiązaliśmy sznur i kładliśmy w bruzdzie. Już się nauczyliśmy w jakim miejscu co zrobić i troszkę znaczy powstanie się, to ten snopek się zamuli i woda z bruzdy rozplywa się po całej powierzchni zasiewu. Na ukos oczywiście, według spadku. A jak się człowiek nie leni, to pójdzie jeszcze następną bruzdę zatknie i jeszcze następną. Także woda, która spłynie do następnej bruzdy jest też wykorzystywana do podlewania. A norma była hektar i dwadzieścia setnych, hektar i dwie dziesiąte hektara za dzień na jednego. No a ja jeszcze z takim dobrym przyjacielem, który był no dla mnie jak naprawdę nauczyciel życia. Piotr Szpadi. On był żonaty, miał czworo dzieci, Piećka jego nazywaliśmy. To ten Piećka, to oczywiście zaraz się mną zaopiekował, nauczył jak to trzeba czyścić bazę, jak krowy się wyprowadzić, jak się krowy zachowują, jak w ogóle krowy, koło krów chodzić i tak dalej. Bo naszym zadaniem nie było karmienie krów, ale było tylko sprzątanie, czyszczenie bazy, wywożenie nawozu, układanie go w sterty na pobliskim polu. I w zimie to wyganiało się krowy na, taka była Jezierowa Szczel, taki wąwóz, w którym było jezioro i stamtąd sączyła się, sączył się strumyk i zawsze była ciepława woda. Także nie trzeba było, albo bardzo rzadko trzeba było przeręble robić, żeby krowy mogły pić. Więc wyganiało się te krowy w tym, zaraz po porannym dojeniu. Ranne dojenie było od 4-tej rano do 6-tej i potem trzeba było o godzinie 11-tej zawołać krowy. W tym czasie one piły i tam Podpasek trochę na nich naglądał, a ja i inni, czyja tam kolejka, czyściliśmy. Wjeżdżało się saniami takimi do, na środku, pośrodku i przez całą bazę jechało się, na te sanie nakładało się nawóz, czyściło się, zamiatało. W każdym razie w ten sposób przezimowałem i potem na wiosnę, może koło 10-

ego maja bo to wiosna była jednak późno w górach. Jak trawa narośnie, to wyganiało się krowy najpierw na popasienie i z powrotem. A potem na całe lato do jesieni w góry. W górach tam w jednym z wąwozów, taki wąwóz *Aktas*, nazywał się, tam.

[3A, 00:25:00]

Aktas, czyli biały kamień po polsku. To znaczy Ak myślnik tas. Tam była rzeczka i tam na takiej równinie pod górami ustawione były takie barierki, do których przywiązywano krowy, *konawież* nazywały się, *konowież*. Więc dojarki tam miały każdy swoje miejsce. Każda krowa miała swoje miejsce, każda krowa miała numer, paszport i na rogach numer wypalony. No i oczywiście imię miała, z tym że bardzo często te imię nadane przez zootechnika, w księgach rodowych tam zapisane. To one nie były używane przez nas i przez dojarki, tylko nasze jakieś tam pseudonimy. Kliczki, tak się nazywało, co było nawet srogo prześladowane, że ma się nazywać tak jak się nazywa. A niektóre krowy miały takie imiona, że te biedne dojareczki nie rozumiały tego i nie umiały wymówić. Resztę buhaje miały, byki miały swoje imiona i konie miały paszporty i woły miały paszporty, imiona. Wszystkie stworzenia prócz osłów i prócz nas zesłańców, bo my też nie mieliśmy paszportów. Nie mieliśmy prawa nigdzie się oddalać z tego miejsca, pod groźbą kary do 25 lat obozu lub kary śmierci. A że to był teren pograniczny bo nasza wieś była o 70 kilometrów od chińskiej granicy, to tam często pogranicznicy jeździli i wyłapywali też tych ludzi, którzy szwendają się. I tylko od łaski dyrektora, czy tam kierownika tego odcinka, to zależało czy pójdiesz pod ten sąd czy nie. Bo mogli za byle co. Tak przepracowałem chyba ze 2 lata pierwsze na tej fermie. Bo potem w czasie kiedy sianowanie było, to byłem w charakterze podawacza, podającego na stertę siano. A sterty były wysokie, kilka metrów, do siedmiu. I takie widły na długim kiju, to nazywali długi ołówki. Będziesz pisarzem mówili z długim ołówkiem. Podawaliśmy na długim kiju, a potem ostatnie podawania to już były, że na drabinę trzeba było wejść. Ktoś tam nabrał na widły, postawiał, no a ja na przykład brałem i podawałem tyłem do sterty stojąc. Tam odbierali u mnie siano. I takie było zdarzenie, że w tym momencie podawania siana, a podawało się na widłach, było może ze 20 kilo tego siana, dosyć ciężka wiązka i powiał wicher taki. W górach było takie wichry i właśnie mnie, straciłem równowagę z tym sianem. A że tam byli pod, dookoła sterty chłopackowie i dziewczyny, które podwozili bykami te siano. Bo to było takie urządzenie, że zaczepiano całą kopiecę i byki wlokły tą kopiecę pod stertę. Więc ja musiałem jednak użyć dużo siły, żeby wyrównać, żeby nie upadło to u mnie i nie uszkodziło kogoś z tych dzieciaków.

[3A, 00:30:14]

No i z tego powodu dostałem opuszczenia żołądka, bo byłem chudy i u mnie się żołądek upuścił. Straszne bóle miałem, nawet gorączkę. Próbowałem, chodziłem do lekarza, lekarze mnie nic nie, uznawali mnie za symulanta. I ja tak, ale posłali na lżejsze roboty jakieś. I wreszcie, akurat to było 1947 albo 1948 roku, kiedy Stalin tam oskarżył lekarzy o szkodnictwo, kremlowskich. Żydów, lekarzy o szkodnictwo. I wtedy ja też, a główną lekarką w ambulatorium była Żydówka. I ja poszedłem i mówię, zacząłem krzyczeć, że: *–Co jest?*

[00:00:00] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-3B

JG: Lekarze, tam szkodzą i tu szkodzą Żydzi i to jest, że chory, bardzo cierpię na żołądek, zdycham już i nie mogę dostać skierowania do obwodu, żeby mnie prześwietlili co tam jest. I ona się przestraszyła, dała mnie skierowanie, ja poszedłem do komendanta. Komendant dał zezwolenie, żeby pojechać, a ponieważ się zebrało takich ludzi, którzy musieli pojechać do obwodu tam, kto na prześwietlenie, kto do szpitala większego, bo mały szpitalik to był u nas tam w Kokrzwa właśnie przy centralnej dyrekcji. I dali nam sanie, zawieźli. A tam z kolei prześwietlenie, a ze mną jeszcze był mój kolega Marks, który też był chory. Ale on troszkę tam udawał. Pojechaliliśmy do Pługana, tam do obok nas saniami przez góry. Ale to odległość w prostej linii przez góry 70 kilometrów. A jakoś tam trafiliśmy, już mieliśmy troszeczkę pieniędzy, więc zakwaterowaliśmy się w domu kołchoźnika. Poszliśmy do szpitala, a tam klęska. Bo aparat może prześwietlić żołądek u dwóch ludzi dziennie. I kolejka na 5 dni już zajęta. No więc bardzo ciężko było, ale mój Marks znalazł tam rodaczkę, Niemkę poszwargotał. Chciałem powiedzieć, że ja niemieckiego języka w gimnazjum uczyłem się przez 6 lat i gdyby ci ludzie tam rozmawiali językiem zbliżonym do literackiego, to ja bym piorunem nauczył się mówić po niemiecku, ale tam oni między sobą nie umieli się nieraz porozumieć, bo każdy był z innej wsi, tak jak ich Katarzyna na Pomorzu ich sprowadziła 200 lat temu, czy ile, tak w różnych wsiach różne były żargony. Byli ludzie, którzy nazywali się Balcerz, z Balcera, Balcerscy, byli Norkiński i byli różni inni i każdy miał inne narzecze i trzymali się tak trochę, żenili się między sobą. Ale potem też i żenili się między klanami tymi, bo jednak już byli bardzo spokrewnieni. I on tam poszwargotał i ona poszła do lekarza, a lekarz był przywoity jakiś człowiek, nie komunista i powiedział, że dobrze, że on jednego, jednego dnia wpuści, drugiego drugiego dnia puści jako trzecich. W drodze wyjątku. I na drugi dzień Marks przeszedł, ale czekał na mnie, jeszcze tam mieli inne sprawy, bo mieliśmy parę koni i sanie. A ja na drugi dzień i wyniki jeszcze trzeba było nam dzień przeczekać.

Mnie ustalili opuszczenie żołądka. Więc ja wróciłem mając to oświadczenie, że mam opuszczenie żołądka i znowu do tej poszedłem kierowniczką medycznego tego ambulatorium. Mówię: *widzi pani, pani mówiła, że ja symulant, nic mnie nie ma*. Właściwie nie pani, bo ona Iza Borysowna się nazywała. Simpson Iza Borysowna. I mówię: *A ja tu jestem chory, opuszczenie żołądka. I byłem tam u lekarza i lekarz mówił, że tylko mogę być dopuszczony do lekkiej pracy*.

[3B, 00:05:10]

JG: Więc ona mi dała takie zaświadczenie, że nie mogę być kierowany do ciężkich prac i zwolniony od jazdy konnej, bo ja sobie zażądałem, żeby od jazdy konnej, bo już nie byłem tym oborowym, i nie chciałem, a latem pastuch ma konia i na koniu lata po tych górach. A ja oczywiście miałem te psy, to nie musiałem latać i konia tylko pasłem, bo psy za mnie latały po górach. Nieraz swój chleb im oddawałem. Ale nie chciałem po prostu, żeby mnie gdzieś tam nie walnęli. I posłali mnie do Turczoszku. Ja byłem dozorcą w cielętniku, na fermie, w nocy. Kiedy cielętnicy nakarmią swoje te cielęta, a ja pilnuje, żeby tam wilk nie dobrał się, jeżeli to latem to pod takimi wiatami oni w zagrodkach takich nocują. A w zimie, to w takim budynku. Ja tam byłem w zimie, a w tym cielętniku był wygrodzony taki pokój, gdzie był kantorek taki. Tam liczmanka prowadziła ewidencje wszystkich krów, i oprócz tego i naliczała płacę. Ona nieraz w nocy siedziała, bo były pilne prace i jedna była tylko i ja jej tam zacząłem pomagać. I przy okazji nauczyłem się liczyć na liczydłach, bo nie umiałem. Pomagałem jej, a potem ją gdzieś skierowano indziej, czy przerzucono na inny... Nawet nie pamiętam, co się z nią stało w każdym razie ją gdzieś przenieśli poza naszą wieś, poza nasz koszegar. A tu przysłali na jej miejsce syna dyrektora, bo dyrektor ożenił się z kobietą, która miała syna. Nie pamiętam imienia, nazwisko Gałdrza. Ona też była lekarzem, nie kierowała ambulatorium, ona właściwie lekarzem okulistą była, ale tam musiała spełnić wszystkie inne też. A ten z kolei taki bawidamek, pijak i hulaka mało czasu poświęcał pracy w tym kantorku. Ja pomagałem jemu, bo mnie to interesowało, więc w nocy i on zostawił wszystko i ja porobię. Tak to trwało może miesiąc, może dwa, może trzy, bo dyrektor jego za karę tu posłał, bo on rozrabiał za wiele. Pił, tam bójki były i tak dalej. Także ja się tam przy tamtej Lidzi Lemiesz, która była tą po rosyjsku (*nz*) to dobrze się nauczyłem tego i robiłem tam za niego wszystko. Wreszcie któregoś dnia, bo nawet i w dzień przychodziłem pomagać, któregoś dnia on przyjeżdża i mówi, że ma zapewnione stanowisko u komendanta w powiecie, komendanta milicji w powiecie. Ale mówi ojciec jego nie puści, bo kto tu będzie robił to? Ja mówię: *Kto tu będzie robił? Ja zawsze robię a ty nie wiesz, kto tu będzie robił?*

[3B, 00:10:12]

JG: On pojechał i za godzinę konno pojechał wierzchem za godzinę wraca. I przywiózł już zarządzenie dyrektora, że mianować tym rachmistrzem. A jego zwolnić. Ja zostałem tym rachmistrzem, prowadziłem wszystko jak się należy. I potem wyszła sprawa, że bardzo dużo było tych cieląt, bardzo dużo młodych tych bukatów tak zwanych, znaczy, bo gdzie się odganiało, to tam nie było miejsca, bo jak oni nie sprzedali tych bukatów do rzeźni, czy coś i nagromadziło się mnie i powstało... Znaczy brygadzysty do spraw hodowli tych młodego bydła. I mianowano mnie i ja byłem jednocześnie i rachmistrzem tym i brygadzystą, ale najpierw głównym brygadzystą. Do mnie należało wożenie. Już u mnie z tym żołądkiem lepiej było. troszkę utylem, ciężko nie pracowałem, więc troszkę utylem i to mnie lepiej przepona trzymała to wszystko. I tak się stało, że zacząłem właśnie, tu do mnie należało zaopatrywanie w karmy tych cieląt i w siano tam, i kiszonki tu przywoziła brygada transportowa, ale na przykład osypkę woziłem tam do cieląt, woziłem mleko dla tych, których tam... Póki w rodzinnym to dostawał mleko cielęce, a jak już odjęli tam krów po pewnym okresie, to dostawaliśmy mleko odciągane. Pobierałem to mleko odciągane, woziłem dla cieląt, rozliczałem cielętników, ustalałem grafiki, która kiedy, jak, noc, dzień, bo tam nie było tak, że 8 godzin pracy tylko dwie zmiany powiedzmy 12 na 12 przeważnie. A która tam chciała tam wcześniej iść do kina, czy coś, to prosiła, żeby druga przyszła trochę wcześniej za nią. Potem się odwdzięczyła. I w ten sposób ja byłem tym brygadzystą, ale tak się dobrze troszczyłem o to bydło, że ono dużo zyskiwało na wadze. A rozliczany byłem od wagi, według normy, i od przyboru wagi ponad normę i jeszcze więcej. I bywało, że zarabiałem na owe czasy 1200 rubli, podczas gdy jako dozorca dostawałem 200 rubli, a kierownik całego tego naszego oddziału 600 rubli miał pensji, więc ja miałem dwa razy więcej od niego. Jego to bardzo bolało, bo był taki, co też był stary kułak, Zabielin, Iwan Fiodorowicz Zabielin, straszny rozpustnik i dzierzymordę, można powiedzieć po polsku też. Iwan Fiodorowicz Zabielin. Bardzo zazdrosny o te moje pobory, ja tam starałem się troszkę zniżyć, żeby to 800 czy 900, ale przez około roku zarabiałem dobrze, podreperowałem się z pieniędzmi.

[3B, 00:15:10]

I było tak, że cielak jak to cielak, co żuje tą sosnke, i połknie gumę albo obje się koniczyną, zaraz wzdyma jego i musi zdechnąć. A ja dałem wszystkim dozorcóm noże. I mówię, tylko nie dopuścić do tego, żeby zdechł. Jak już widać, że koniec z nim to poderznąć gardło i potem zrobicie z tego mięso. I z takiego cielaka skórę się zdejmie, cielęcinę sprzedamy, skórę

dawałem dla rymarza, on był bardzo zadowolony i zawsze nam robił najciekawszy, najładniejszy, najbardziej wzorzyste baty, knut nazywa się taki bicz pasterski. A mięso sprzedamy i idziemy do kołchozu i u kołchoźnika kupuje się cielaka o wiele taniej niż te mięso sprzedane, ale zawsze zachowam trochę pieniędzy, bo może następny będzie bardzo mały, mało będzie mięsa. I w ten sposób, a z zootechnikiem dobrze żyłem, bo umiałem już pędzić samogonkę, on lubił popić, więc tylko ja mu powiem, że: *Panie zootechnik, panie towarzyszu* – jeszcze się mówiło, żeby on z ksiąg tych rodowodowych nie ujmował jego, znaczy brakował, bo tak od dobrych rodziców krówka, jałówka, czy byczek, to nieraz idzie do rodowodu. Tego mówię trzeba odkreślić i on tam już postawił gdzie trzeba krzyżyk, a zastępcą zootechnika była nawet Polka, rosyjska Polka, pani Galina Bagrowska. I ona też mi sprzyjała. W ten sposób nigdy za ten czas jak ja opiekowałem się tymi cielętami nie było padnięcia. Co bardzo było pożądane, bo to plama na honorze, nie tylko tych nas hodowców, ale całego sowchozu. Takie same kombinacje ze świniami robiono. I w pewnym momencie on jednak doszedł do tego, żeby zmienić mnie zatrudnienie, że ja będę rachmistrzem i przy okazji tym brygadzystą hodowli młodego bydła. Ja od razu przeszedłem na 260 rubli miesięcznie, co mnie się nie podobało, ale co człowiek właściwie wiele z tej pensji nie miał, bo już starał się tam i kartofle mieć swoje i mięso i świniaka wykarmić, i tak dalej. Kury, jajka, ale przestałem interesować się padnięciami. Raz padł cielak, drugi raz, trzeci raz, nic mnie nie obchodzi. Ja rachmistrz. Więc ten zemścić się chciał, ten Iwan Fiodorowicz Zabielin i oskarżył mnie o szkodnictwo. Było zebranie, przyjechał komendant, przyjechał wicedyrektor, zootechnicy przyjechali. Chciał mnie wsadzić do więzienia, że zazdroścę, że ja nie zarabiam tam tych 1000 czy 900 czy 1200 rubli, to niszcę cielaki. I wszyscy cielętnicy, ponieważ ja im od wagi dostawali wynagrodzenie, to bardzo były zadowolone i zawsze mnie popierali, bo dobrze zarabiałały.

[3B, 00:20:03]

On próbował tam każdą przepytawać publicznie, czy ja tam czego nie dosypywałem, czy nie tego, czy nie trułem, czy nie dusiłem i wszyscy za mną. Tak samo i zootechnik mnie poparł, że takich wyników nigdy nie było na innych fermach, nie ma jak tutaj. Komendant mnie też lubił, bo od czasu do czasu dostał czajnik samogonu. Bo tam butelek nie bardzo było. A był to już, bo początkowo to był komendant Kazach, też taki srogi i niedobry. A to był już taki pozszywany z kawałków oficer z frontu. I on tam nie był nigdy tym UB-owcem takim jak u nas to się nazywa. Ale przyzwoity ruski człowiek Jefremow, nazwisko, ale imienia nie pamiętam, tylko Jefremow, ale przyzwoity gość, lejtnant trzy gwiazdki. I właśnie on też

wyśmiał tego naszego kierownika, mówi: *Co ty tutaj wymyślasz, robisz głupoty, człowiek uczciwie pracuje, stara się a ty chcesz jemu zrobić krzywdę.* Rozeszło się po kościach. Wszyscy mnie bronili, i zootechnik i kto tam tylko był. Dla mnie to była wielka ulga, bo jednak człowiek z przeszłością kryminalną, to nie miał zaufania. A jeszcze oprócz tego cały czas wszyscy starali się powiedzieć, że ja jestem też Niemiec. Bo nazwisko i wyznanie. U nas w Polsce, to też luteranin, to znaczy Niemiec, prawosławny to znaczy ruski. I tam tak było, przez obóz cały czas. Jeszcze mnie mówiono, jeszcze jak byłem aresztowany, że: *My ciebie wyślemy do Niemiec, bo ty Niemiec. Powiedziałeś, że Niemiec i będziesz nam tam trochę donosił, co tam w Niemczech się dzieje.* Ja mówię, że ja nie czuje się Niemcem, że może dawni przodkowie moi byli, ale rodzina polska, matka katoliczka, ale mnie według tradycji ochrzczono w ewangelicko-augsburskim wyznaniu i to dla mnie nie przeszkadza. A do Niemiec nie chcę jechać, bo nie mam tam co robić, bo jestem Polakiem i za obronę Polski siedzę. I między innymi sądzę właśnie, że to podejrzenie to by zaszkodziło też z wyjazdem do wojsk Andersa, jak wtedy zwalniano. Ale to było zrobione w takiej tajemnicy, tylko nieliczni stamtąd pojechali, bo wszyscy chorzy, z wrzodami, z szkorbutem, to ich nie wypuścili, żeby na widok publiczny nie wystawić tych ludzi. A innych tam podkarmiano, zresztą też odkarmiali tam, lepsze ubranie, bieliznę dali, ale to wszystko na nic, bo to błyskawicznie się stało. I tak żyłem. Potem, oczywiście latem zawsze na te roboty ciężkie, bo ja jednak byłem dobrze zbudowany i już w Kazachstanie miałem, nie byłem głodny nigdy, bo miałem krowę swoją i świniaka. A krowa to nie tylko mleko, ale też i śmietana i masło i ser, więc jakoś się żyło, bo ze świniaka dużo mięsa nie ma, przeważnie słonina, ale tam się słoninę jadło, soliło się tą słoninę i potem można było sobie nawet brać do woreczka na pole jak się pracowało.

[3B, 00:25:06]

Miałem wiele tych fachów, bo pracowałem też, byłem posłany na taki tartak domowej roboty, tam na deski piłowaliśmy te drzewo. Nadmienię jeszcze, to drzewo, te belki, te kłocze sześciometrowe, które myśmy tam w górach na chińskiej granicy zwalali i ściągali na brzeg rzeczki, to potem na wiosnę inna ekipa zaprawiona na takich robili spław tego, znaczy to nie było, tak, że tratwy się robiło, bo rzeka miała głazy, urwiska, wodospady i inne rzeczy, że nawet dosyć grube takie kłocze to przełamywane były po środku. Rzeka spadała, aż buczało, jeszcze wiosną dużo wody, a jak się zrobi zator, to z brzegu na brzeg, od skały, do skały zaczepiano takie liny stalowe i na takim kółku oblinowany człowiek się tam spuszczał nad rzeką i rozpychał jakimś długim kijem te drzewa, żeby rozruszać, woda sama wyrwie to wszystko jak tam zatyczkę tą trochę się odsunie. Były wypadki śmiertelne oczywiście, to się

urwała lina, to się urwał ten jego uzbrojenie na którym wisiał. Były śmiertelne wypadki. I to spływało, a za mostem na rzece Kukstu, w pobliżu wsi rzeczka była przegrodzona po wierzchu, także te belki na ukos, te belki jak uderzały i podpływały do brzegu, a tu na brzegu zaraz wyciągali łosakami. Rzeka była może w tym miejscu, może 10 metrów szerokości, bo taka już płaska rozlana, a potem znowu tam była taka dalej, bo płynęła kawał drogi. Ten korgański obóz nazywał się inaczej Siemiereczny. Siemiereczy, czyli siedem rzek. Chciałem jeszcze nadmienić, że kiedyś car tam wysyłał przeważnie Ukraińców, ale kozaków, którzy zasiedlali i były takie strażnice, żeby pilnować tych Kirgizów. I tych ludzi, którzy tam przyjeżdżali nazywali się siemiereczeńskie kozaki. Ale jak tam rzeki inne spływały, to przyznam, że nie powiem, ale nawet gazeta w tym Korganie wychodziła, nazywała się „Siemiereczeńska prawda”. Nasz powiat był we wsi Kugały, nosił nazwę imienia 28 gwardziejców panfilowców, tych którzy zginęli w obronie Moskwy. I tam było dużo Kazachów, i pochodzących z tego obszaru, i tak nazwali Kugały. Teraz Kugaliński jest. Nie wspomina się. Jeszcze tam teraz to wszystko rozbudowało się, nawet poczta jest na tej wsi, gdzie ja mieszkam, kiedyś poczta była tylko w centralnym, a teraz... Bo ja koresponduję tam z przyjaciółmi, a wielu z nich repatriowało się, czy tam przesiedliło się do RFN-u. I ja nieoczekiwanie dostałem parę paczek i tak dalej.

[3B, 00:30:04]

Pierwsza ze mną nawiązała kontakt taka pani Maria Antonowna Graf. Katoliczka, kobieta inteligenta. Może wrócę jeszcze, opowiem, o takich rzeczach, że tam w trzydziestych latach już połapali się, że nie mają inteligencji, bo Lenin z Dzierżyńskim wymordował inteligentów. Między innymi oczywiście innych też, kupców, kułaków. Więc przez Komintern zwrócili się tam do szeregu (*nz*) żeby przysłać im inżynierów, lekarzy i innych tam fachowców. I w ten sposób pan Graf, mąż tej pani, ona z pochodzenia Jugosłowianka, też pojechał i byli na Kaukazie i on był dyrektorem jakiejś fabryki i tam wykładał też na wyższej uczelni i tak dalej, a jak przyszedł moment w trzydziestym siódmym roku...

[00:00:00] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-4A

JG: Może w 38. to było, aresztowano go i więcej pani Maria nie widziała jego i nie słyszała o nim. A ją i jej córkę zesłano i ona właśnie po różnych perypetiach trafiła do Kazachstanu, a córka trafiła w czasie wojny do tak zwanej Trudarni, bo mało tego, że ci zdrajcy ojczyzny byli oczywiście potem, jak się okazało, rozstrzelani, to członków rodziny aresztowywano. Jak byłem w obozie to bardzo, z wieloma takimi członkami rodziny, zdrajców ojczyzny,

poznawałem i było dużo takich ludzi, zwłaszcza kobiet. No i tu w tym wypadku ja pomagałem jej, ponieważ to już było grubo po wojnie, pomagałem jej przynajmniej, żeby sprowadzić tą córkę do niej z tej Trudarni, bo tu jednak tu, a ona była w Syberii, gdzie nie było specjalnie żywności. A tu było wszystko, miałem to szczęście, że przyjechałem tam, gdzie była kartofla i każdy pracownik dostawał 400 metrów kwadratowych pola, żeby posadzić sobie, przeważnie kartofle sadziliśmy, bo gdzieś jeszcze w górach też sadziliśmy kartofle, ale trochę marchwi. Ja na przykład nasadziłem w pierwszym roku, po pierwszej zimie nasadziłem dwa tabuny czosnku i żarłem ten czosnek jak świnia. I mieszkałem początkowo w takim, jak, powiedzmy, hotel robotniczy, tam do jednej rodziny zostałem, a potem umówiliśmy się jeszcze z jednym przyjacielem, który opiekował się bykami, tymi buhajami, że wyjeżdżał jeden wolny i miał zwolnić mieszkanie. Myśmy się z nimi umówili, że on nam te mieszkanie po cichu da. I nawet ten mój kolega, który też już teraz jest w ORFN-ie i już korespondujemy, Szefior Dawid, to zamieszkał u tego pana, póki on jeszcze mieszkał, żeby tam nikt nie wlaźł. No był pokoik i przedsiemek taki, ten człowiek, Rosjanin, Sieriebrjanikow nazywał się, a myśmy go przezywali Srebrny Kamień. Bardzo przyzwoity gość, mimo, że komunista partyjny, ale naprawdę dusza człowiek, tam trafił do nas, czyli nie był świnia, że nie związał się tam z jakimś NKWD czy czymś tylko... nie robił ludziom świństwa, to mu ludzie zrobili świństwo. Ale on był swój czas i udało mu się wyjechać stamtąd. Ja potem wprowadziłem się też, ożeniłem tam z Rosjanką zesłaną, z Rostowa, właściwie spod Rostowa, bo po prostu jej mąż był w wojsku, był na wojnie, no i uznano, że on był, pod Leningradem, uznano, że on przeszedł na stronę Niemców, zdrajca ojczyzny. I ją i jej synka posadzili do więzienia, trzymali w więzieniu ileś czasu i jakoś się jej tam po ludzku udało dogadać, że z siostrą się do syna zabrała, z więzienia. A ją i całą masę tych z Rostowa przywieźli właśnie tam do Kazachstanu, do naszego sowchozu na zesłanie. Po pięć lat dostały.

[4A, 00:05:00]

Ja się z nią ożeniłem, to znaczy tam, najpierw przystaliśmy do siebie, potem jakoś się tam pobraliśmy, bo to druchów nie ma, to nie ma sekretarza, to jeszcze komu, bo to tam jeszcze zapisywało się w sowiecie. I zamieszkaliśmy tam z tym (nz). Mieszkanie mieliśmy, praca, jakże. Ja nadal byłem tym rachmistrzem na fermie mlecznej i już mnie mniej szarpali do różnych robót, bo ja już pomagałem na oddziale tam, w oddzieleniu tym, na (nz) kantorze, no, nauczyłem się przecież jeszcze w obozie czytać, pisać po rosyjsku. Przeczytałem wiele książek, byłem już taki rozwinięty do tego stopnia, że jak już miałem jechać do Polski, już

byłem zwolniony z zesłania, to pozwolono mnie pojechać do miasta (*nz*) kartofle na sprzedaż i ja pojechałem tam, dorobiłem sobie 3000 rubli na tych kartoflach oprócz płacenia za samą... i kupiłem sobie ubranie, długie buty z cholewami, harmonijkami takimi chromowymi, zegarek, kapelusz z rafii. Jak wróciłem to właśnie matka tego Dawida mówi – *No teraz to ja uwierzę, że Żożyk to cudzoziemiec!* Bo jak ja chodziłem w tych krochmalach i tak dalej... I tak spędziłem tam czas. Potem stało się tak, że była rewizja księgowości i wykryto nadużycia na fermie świń. A ja przedtem jeszcze napisałem do technikum podanie, że ferma posiada 200 krów, a pensja była ustalona jak było tylko 100 krów dla rachmistrza, a teraz ma 200 krów i nadal pensja została taka, więc ja bym chciał, żeby on tam jakoś załatwić, żeby mnie te 310 rubli płacili. No i nagle nas wzywają, cała gromada ludzi i rachmistrza oddziału, i rachmistrza świńskiej fermy, i mnie jako rachmistrza mlecznej fermy, kierownika oddziału tego, kierowników ferm. Zawołali nas specjalną furą, dużą, wymoszczono, zawieźli nas tam do koks, do czarnej siedziby, no i dyrekcja najpierw ten rewident taki, sprawozdanie złożył – takie nieprawidłowości, takie, takie, takie nadużycie, że za dużo płacą świniarkom. A świniarki strasznie zarabiały dużo, bo tamten tak machlojki robił brygadzysta na fermie świńskiej. No, wezwano nas tam i po tym sprawozdaniu, po wszystkim to powiedział dyrektor, przeczytał, bo każde zmiany na stanowiskach to był taki, zarządzenie, *prykaz* po sowchozu. Zarządzenie przeczytał, znaczy, zdejmuję się kierownika fermy świń, zdejmuję się brygadzystę, zdejmuję się rachmistrza na ogólne roboty. Brygadzysta z fermy świń, nawet z wydaleniem z sowchozu, jemu bardzo dobrze, bo on sobie znalazł potem poza sowchozem, jak nie musi w sowchozie, komendant się zgodził, to on sobie tam w mieście w znalazł (*nz*) pracę. A mnie na stanowisko, znaczy, w fermie, na fermie świń, a tam jest 310 rubli było już, a rachmistrza oddziału, takiego staruszka, na moje miejsce na fermę.

[4A, 00:10:05]

A natomiast rachmistrza polowej brygady na miejsce rachmistrza oddziału całego. No i my, no i skończyła się, technik przychodzi demonstracyjnie podanie zwraca – *Bo już masz, 310 rubli.* A potem ja zabiegałem, żeby temu rachmistrzowi właśnie oddziału, który nigdy nie poparł mnie, żeby to ja jemu załatwiłem te 310, tak umotywo wałem wniosek. Raz, drugi, trzeci, a mało tego! Idąc do pracy zachodziłem i jemu pokazywałem, co robić i jak, i gdzie, wracałem, siedłem do pracy, a była przerwa obiadowa, więc pędziłem, szybko zjadałem swoją zupę w domu, bo ja mieszkałem przy fermie, półtora kilometra od wsi, gdzie cała ta nasza. I zaraz zachodziłem, znowu jemu coś tam pokazywałem, co zrobić i leciałem na... a tak uporządkowałem fermę świń, z ewidencją, ze wszystkim, że tak samo kobiety zarabiały,

tylko każde świnie były ważone, wszystko, bo tam grupy od 0 do 2 miesięcy, od 2 miesięcy do 4 miesięcy, takie grupy były. I przy przechodzeniu z grupy do grupy starszej trzeba było ważyć, już inna świniarka przejmowała, a ta dostała wynagrodzenie, przyjmowała znowu, tak co 2 miesiące była gradacja. Tak uporządkowałem elegancko, że potem jak rewizja przyszła i zobaczyli, to zaraz mnie za łeb i z tym rewidentem na rewizję innego oddziału, trzeciego, gdzie też właśnie te świnie i tak dalej były. A tam był rachmistrzem oddziału brat tego rewidenta, Wasilij Wasilewicz, tamten był Iwan Wasilewicz, ale nazwisko... no, może przypomnę, bo to trochę przyjaźnimy się potem. A u niego też podobna sytuacja, tylko, że ja to nie jestem świnia. Ja im pokazałem, jak co robić, pouczyłem i nic nie wykryłem, a ten, przecież brata też nie sprzeda. No, ale w każdym razie wprowadziłem i takie druczki co sam opracowałem, wszystko co... i oni tym śladem szli potem. No i miałem markę dużą u tego właśnie rewidenta, że nie narobiłem kłopotów jemu bratu. Uporządkowało się to. Po jakimś czasie ten pan, który został rachmistrzem oddziału, nazywał się Iwan Winterholler. Był bardzo mądrym człowiekiem i dobrym, i serdecznym, ale miał taką żonę, że wszyscy bali się jej jak ona straszna była awanturnica i ciągle jego besztła na przeróżnych sprawach. W końcu zaczęła tam bluźnić, już było trochę wolniej i ona wykłopotowała do innych, przenieśli się do innego tam powiatu czy nawet obwodu, już nie pamiętam, gdzieś tam, chyba gdzieś w okolicach Smoleńska i on musiał zrezygnować, i ja jego stanowisko objąłem. Objąłem jego stanowisko i nie było nikogo, kogo, no to ja tam potem jedną dziewczynę przywodziłem na swoje miejsce i cały czas nadzorowałem tam przejściowo, robiłem. Byłem rachmistrzem oddziału do chwili zwolnienia się, wyjazdu do Polski.

[4A, 00:15:00]

Do Polski starałem się tysiące razy. Pisałem do, co gdzie w gazecie przeczytam i do pana Bieruta pisałem, do pana Rokossowskiego pisałem, do pana Cyrankiewicza pisałem, do pana Jarosława Iwaszkiewicza pisałem, do pana. Potem trafił do mnie w ręce „Tygodnik Polska”, po rosyjsku. I tam wyczytałem, że taki, Lucjan Wolanowski pisał tam artykuły, myślę – *Taki wielki redaktor tam, dziennikarz...* Do niego na adres Tygodnika Polska, do Polski napisałem. Żadnej odpowiedzi do dziś dnia.

SS: Od nikogo?

JG: Od nikogo! Ale jednocześnie pisałem do, wtedy był Kalin... potem był Szvernik, był Bułganin, do kogo ja nie pisałem? Do wszystkich, jedynie Szvernik, bo ja tam piszę, że do ojczyzny, to Szvernik, kto, w imieniu Szvernika zapewne „twoja ojczyzna – Kazachstan”.

Tak na moim podaniu z rogu na róg napisane. I nic, i nic, i nic. Do ambasady, ambasad tutaj, tutaj siedzący w domu właśnie, tylko ten pokoik jej, a reszta wszystko znalazło... matka wszystkich, gdzie można, starała się i do Warszawy, i do ambasady rosyjskiej, wszędzie. Jej grozili, że pojedzie tam, gdzie ja. I w końcu, aha, pisałem do ambasady, to ambasada mi odpowiedziała, że dopóki ja jestem na zesłaniu, to oni mnie nic nie mogą pomóc. Ale z chwilą, jak ja zostanę zwolniony z zesłania, a ja byłem na wiecznie zesłany, czyli, no gdybym został zwolniony z zesłania, to oni mi pomogą. No więc ja starałem się na różne sposoby i pewnego razu przyjechał pasef, taki lektor z kacap Kazachstanu, na międzynarodowe tematy miał taki wykład, referat. No, a po takim referacie to się zbierało w klubie, zawsze ten akordeonista przychodził i, żeby była frekwencja, no to wszystkich tam puszczała troszkę wcześniej z pracy, bo wieczorem, tam siódma, szósta, siódma... I jak kończył się ten referat to ławki pod ściany i harmonia, i zabawa. Ale zaraz po referacie muszą być pytania i odpowiedzi. No więc, a ja, no człowiek czytający gazety, dawał pytać różne sprawy, on mi odpowiadał, no ja na sali, on na scenie w klubie, a potem ja mówię, że ja bym miał jeszcze parę pytań, ale młodzież chce tańczyć. Jakby on zechciał, że byśmy musieli sobie usiąść gdzieś w kąciku to pogadamy. On mówi, że bardzo chętnie. I zaraz ławki pod ściany, muzyka, a my sobie w kącie usiedliśmy i rozmawiamy. A potem ja mówię, czy on ma gdzie spać. Aha, a w międzyczasie już sobie domek ulepiłem z gliny i chlewki. I czy ma już mniejsze, a on, że jeszcze nie rozmawiał na ten temat, ja mówię, że może by on do mnie poszedł, ja mam, czym poczęstować i gdzie położyć się nie bardzo tymczasem domek był taki o, pokoik i taka półtorametrowa, tej szerokości kuchenka. No, ale przyszedł do mnie, ja miałem z samogonkę, jeszcze wtedy nawet trochę mogłem pić, miałem (nz). No i rozmawialiśmy całą noc, on mi o swoim życiu opowiadał, ja mu swoje, na ty przeszliśmy.

[4A, 00:20:05]

A on mówi – Tak. Napisz podanie i ja tobie postaram się, żeby ciebie zwolnili z zesłania. A jeżeli tobie ambasada chce pomagać wolny z zesłania to bardzo dobrze. Ja mówię – Ja tylko o tym i marzę. No i on, znaczy podanie mniej więcej powiedział, o czym napisać, ja napisałem, on to zgarnął rano do wyjazdu. Jeszcze tam jemu do woreczka trochę różnych produktów napchali i była butelka, taka, jak to się nazywa po rosyjsku, ćwierć, to znaczy dwulicowe, taka butelka, to z tej tam samogonki dobrej, bo to samogonkę się gnało i ukazało, wymieniało się na różne rzeczy – przeważnie otręby tam, zboże. No i pojechał, już nie pamiętam jego nazwiska, jeszcze niedawno pamiętałem, może przypomnę. I pojechał, to był wrzesień, nie ma, nie ma, nie odzywa się. Pewnego razu, a było to chyba albo w listopadzie, albo w

grudniu. Jak komendant, bo dwa razy na miesiąc przyjeżdżał komendant i trzeba było iść, podpisać się, że byłem na tym apelu takim. Już chłopak z pewnego dworu, posadzili jego na konia i on po wszystkich tych chałupach jeździ i krzyczy – *Komendatki jada, komendantki jedą!* No i zaraz umyłem się trochę, przebrałem się schludniej, poszedłem. A komendant popatrzył na mnie i mówi – *A ty już nie musisz!* A ja mówię – *A co takiego?* – *Ty już nie jesteś zesłany, zwolnili ciebie. Już nie musisz podpisywać się, już to nie będzie wysłane.* A ja mówię – *To jak skończysz tutaj, to wpadnij do mnie!* A już on parę razy u mnie był przecież, chociaż to wielka szycha, ale... o to chodzi, o te rzeczy, to zbliżają ludzi. Więc on przyszedł do mnie, no ja czajnik z samogonu na stół, jedzenie, po obiadku uczcili to, pojechał sobie. Komendant ten sam mówi – *Pierwszy raz.* I ja zaraz do matki napisałem, bo jakiś czas nie miałem korespondencji z matką, reżim miałem taki. Do matki napisałem, napisałem do ambasady i prawie jednocześnie ambasada mnie odwiedziła, Rosji mi przysłała i Moskwa. I ja zaraz napisałem podanie, narobiłem, bo już raz w 48. roku, już też kazali mi zdjęcie zrobić, jeszcze byłem wolny, to właśnie przy, póki zdjęcie zrobiłem i tak dalej to tu coś w Polsce się przewróciło i koniec – nie puścili mnie. A tu już miałem wszystko gotowe, pojechałem, taki Sadyrin, może nawet gdzieś mam jego imię i *odciestwo*, to znaczy to był NKWD, wówczas już NWD, to byli Kurganie, oddział wiz i zezwoleń, OWiR. I tak one nadal te oddziały się nazywają, bo trzeba było w Wilnie, właściwie w Trokach, też w takim OWiR-nie trzeba się zameldować. Tam był pan Sadyrin, też porucznik, znaczy lejtnant z trzema gwiazdkami, który przyjmował moje papiery i tam, co trzeba, jeszcze wypytywał. On też, znaczy, obiecywał, że przyśle zawiadomienie i to ciągnęło się, bo zanim wszystko złożyłem, papiery...

[4A, 00:25:13]

W maju przychodzi do mnie, że nie mogą mnie puścić. Więc... a ja, w te pędy zaraz nowe podanie i nowe argumenty, a ponieważ miałem tych listów gwarancyjnych to zaraz znowu list gwarancyjny i takie odwołanie pisałem. Znowu zawiozłem tam do niego, przyjął, tym razem... czekam, czekam, czekam. Już wrzesień. Akurat kolega mój, z którym kiedyś razem na Wołach jeździliśmy po polach i zbieraliśmy kamienie, on był nauczycielem. On właściwie tego rachmistrza syn też Werber tylko, Aleksander Wasilijewicz Werber. On samowolnie wyjechał, więc nie wiem, czy do Kułwyszewa, uczyć się, skończyć studia. Ale potem go przyłapali, przygonili z powrotem do tego sowchozu. No i za karę, że on samowolnie studia skończył, a przecież Niemcy to niepotrzebni tam z wykształceniem, bo wystarczy, że będą umieli byki zaprzęgnąć do jarzma. Przygnali jego tutaj, myśmy kamienie zbierali to jeszcze różne roboty takie i śpiewamy różne arie z oper, ładny głos miał a ja tam głosu żadnego nie,

ale ucho miałem, bo kiedyś chóry jako dziecko śpiewałem w pierwszych klasach gimnazjalnych. I tak myśmy się zaprzyjaźnili ze sobą, a potem jakoś zlitowali się, nie mieli, powstała u nas, dzięki mnie, szkoła dziesięciolatka u nas, na naszym oddziale powstała. Bo wybudowali siedmiolatka nową szkołę ładną, bo była po różnych pokojach, w mieszkankach, a dzieci, które dalej chciały się uczyć musiały prosić pozwolenie i taki Świczubar kozacki, rosyjski, uczyły się do dziesięciu lat. No, ale... i on, jak tą zbudowaliśmy dziesięciolatkę, to on został nauczycielem, uczył biologii i niemieckiego. Ale ponieważ tutaj była atmosfera bardzo brzydka dla niego, komuniści tam prześladowali. Dyrektor szkoły, pan Filipienko, Ukrainiec, był taki ludzki, mądry człowiek. Ale jego zastępca, Sidzienko, też Ukrainiec, to był żądny władzy i podgryzał tego swojego dyrektora i ciągle w politykę laźł. I jak już tam jego wygryźli, ale on wolny człowiek był i wyjechał do Wykurganu i tam był kierownikiem takiego miasteczka dla pionierów. Ponieważ był wspianiałym organizatorem, zresztą tu takie ogródki szkolne porobił, wszystko tam też. No i tu wrzesień, ale mówi ten Sasza, bo przyjechał do ojca tutaj pobyc i troszkę wałówki zdobyć. I ja napisałem list tam i prosiłem, żeby on zawiózł do tego właśnie OWiR-u. I napisałem, że piszecie w gazecie, że... znaczy dziennikarze radzieccy nie mogą po trzy miesiące wizy dostać do Ameryki.

[4A, 00:30:05]

A ja mówię, 9 miesięcy podanie moje leży i nic? Nie odpowiada na to podanie, a za 9 miesięcy to ja mówię, żywego człowieka, napisałem, można zrobić. A ja nie otrzymuję odpowiedzi takiej czy innej. I on to zawiózł, to ten fragment tylko, ja tam duże podanie napisałem, złośliwe, on to zawiózł. W sobotę rano, o czwartej, pojechał do Wykurgana, a o jedenastej z centralnej naszej siedziby przyjechał goniec, kurier tam nazywany i przywiózł mnie zawiadomienie, że wzywają mnie do tam do Wykurganu po dokumenty. No więc ja w niedzielę, w wielkim strachu oczywiście, ale liczę na to, że mój Sasza nie zawiózł jeszcze tego, nie od razu. Ale on był taki skrupulatny, że od razu zawiózł. No więc ja już w niedzielę wieczorem byłem, jakoś tak samochód zdarzył się, że jechał w tym kierunku, zdążyłem w niedzielę wieczorem zajechać i przenocować w domu pułkownika.

[00:00:00] Grunert_Jerzy_AW_I-0218-4B

JG: A jutro nazajutrz od razu poszedłem warować pod oddziałem NKWD, żeby spotkać tego urzędnika, z którym zawsze załatwiałem. Tam o 9 rano, bo taki jest okres urzędowania od 9 do 17, o 9 rano idzie. No ja się jemu kłaniam nisko, uniżenie, pokornie i mówię, że dostałem zawiadomienie, a on mówi: *Tak, tak to mój kolega przyniósł mnie od ciebie wiadomość.* Ja

mówię: *Ja bardzo przepraszam, ale naprawdę poniosło mnie, człowiek tyle lat, 17 lat czeka i nie może się doczekać, matka staruszka w domu, a ja tu siedzę i marnuję się.* No on mnie zawołał i w samym gabinecie odsunął szufladę i mówi: *Masz i zniszcz to, żeby nikomu do raka to nie trafiło, bo tylko ja jeden to czytałem, bo inaczej to by było z tobą bardzo kiepsko.* No ja mu podziękowałem, oddałem mu jeszcze dokumenty na mnie na moją żonę Rosjankę i na pasierba i po radio co robić, bo ja miałem tych obligacji, co roku trzeba było podpisać pożyczkę narodową i obligacje. A ja byłem taki złośliwy, bo główny agronom (nz) za to i był tam, ale że człowiek mądry i obrotny to nie rozstrzelali go tylko nawet nie był zesłańcem. Ale musiał być tam w Kazachstanie. On zawsze patronował na naszym oddziale podpisywanie tej pożyczki, przyjeżdżał bo to było tak, że każdy deklarował publicznie i on no minimum pensja miesięczna średnia. No i jeden drugiego na współzawodnictwa wzywał, no to ja zawsze wstaję, a ja miałem zawsze przeważnie 200-300 rubli. I ja mówię: *A ja 150% średniej pensji. Znaczy 1,5 pensji deklaruję i wzywam do współzawodnictwa (nz) głównego agronoma.* A on zarabiał 900 rubli to musiał 1350 rubli, zgrzytał zębami zawsze, a potem to już mówił, bo co roku to się zdarzało, a on co roku, bo u nas najlepiej podpisywali, a on sławny za to, bo on za to dostawał zawsze jakieś gratyfikacje. A to potem on mnie już tak mówił: *Po co ty się mścisz, po co ty się mścisz, przecież ja też muszę robić.* A ja mówię: *Dobrze, przestanę.* Więc te wszystkie obligacje to były dla mnie w ogóle papierem. Bo nigdy nikt z tego nie, tylko z tego można było raz z tego jeden facet wygrał 25 tysięcy rubli, to wzbogacił się niesamowicie, wszystkim całej wsi stawiał. A tak to obligacje były niepotrzebnym papierem. A to mówi, że do (nz) i oni mnie dadzą złotówkę za złotówkę na podstawie właśnie tego zezwolenia wyjazdu. To ja przy tej okazji, jak już doszło do sprzedaży swojego mienia, to jak to nie miał pieniędzy, to ja mówię przynieś obligacje. No i przynosili mi obligacje, a on mi powiedzieli, że mogę mieć tyle obligacji, żeby tylko mieć zaświadczenie, że ja te obligacje, znaczy zdobyłem drogą podpisywania zobowiązań.

[4B, 00:05:10]

No to ja nazbierałem tych obligacji, sam sobie wystawiłem zaświadczenie, a jak się rozliczałem z centralną buchalterią to oni mnie to przypieczętowali i koniec. Swoją chałupkę na przykład też za obligację sprzedałem, bo ona już nie istnieje. Bo to z gliny i podłoga glina, ściany glina, sufit glina i bez sufitu właściwie, aż się uginał. No i jak zajechałem do (nz), a przy okazji, ach jeszcze było tak, ja przyjeżdżam a dyrektor się zmienił. Był taki weterynarz student przyjechał kiedyś do nas, goły, bosy, ja mu nawet kufajkę załatwiłem, żarcie mu ciągle jakieś tam dawałem, a potem on był zootech, on był lekarzem, znaczy w ambulatorium

weterynaryjnym, a był jeszcze starszy lekarz, taki Czernow, który też miał wyrok najwyższej miary, a potem mu zamienili na zesłanie. I ten Iwanikow tam się kręcił, ale już nie szkodził, mądry człowiek, inteligent, dałem mu, dawałem mu zawsze coś, a potem on nagle tamtego dyrektora zdjęli, bo gdzieś się widocznie potknął. Akurat były już takie zmiany trochę na tych partyjnych stanowiskach, bo jeszcze przybył do Kazachstanu taki (nz) na pierwszego sekretarza. Kazano im wybrać, bo Kazasi to już straszna sitwa była, więc tego Pozamarenkę przysłano, a on potrafił przebrać się i chodzić po sklepach, po różnych urzędach i podsłuchiwać i kto co tam kradnie, albo załatwia, to wszystkich wywalał. Między innymi u nas wywalił w tym, w powiecie głównego tego z NKWD, że musiał boso i przez całe mienie zostawić i uciekać. Tak go zrobił. A to był straszny rozbójnik. No i ten nasz dyrektor odpadł, bo nazywał się Burmiszczenko dyrektor, a ten młody to nazywał się Iwanikow, został dyrektorem. Ja przyjeżdżam, i mówię, jeszcze nie dojechałem do swojej wsi, tylko tam, spotykam jego tam na ulicy i mówię, że już jestem wolny, już jestem nie obywatel tutaj, zresztą obywatelstwa nigdy nie pozwoliłem sobie wpisać radzieckiego. Ani w obozie, ani na zesłaniu. A jakie, polskie. Ale nie ma Polski, to byłej Polski. A jak była Polska zrobiła się znowu Polską, to znowu polski obywatel. Także na szczęście, bo może bym miał większe kłopoty gdybym przyjął obywatelstwo radzieckie. I maltretowali mnie za to strasznie, zwłaszcza podczas śledztwa i w obozie, ale nie zgodziłem się nigdy. No a on mówi: *A ja ciebie nie puszcze. A ja mówię: A ja ciebie mam gdzieś, bo twój poprzednik zanim ja zacząłem starania to wystawił takie zaświadczenie, że w przypadku gdybym ja dostał zezwolenie na wyjazd do Polski, to on mnie zwolni z kolchozu. I to tam leży w NKWD i ty mi nic nie zrobisz.* A oni nie wierzyli, że ja w ogóle kiedykolwiek dostanę takie zezwolenie. A on mówi tak: *No ale przecież nie ma rachmistrza, nie ma nikogo na twoje miejsce i akurat kwartał się kończy.*

[4B, 00:10:05]

Bo to był już wrzesień do końca dobiegał. Ja mówię: *Tak, ja bym tobie kwartał zakończył, ale ja muszę sprzedać wszystko, pojechać.* On mówi: *To niech żona sprzedaje, a ty rób zakończenie kwartału i bilans i wszystko.* A ja mówię: *Tak, ale ja muszę kartofle zawieźć (nz) żeby pieniądze mieć na drogę i tak dalej.* A on mówi: *Ja tobie dam samochód.* Ja mówię: *Ja wiem, jak ty mi dasz samochód. Że masz 2 samochody i powiesz, że oba tam w (nz) gdzieś, a ja zostanę na lodzie.* A on mówi tak: *Dzisiaj tu przyniesiesz sprawozdanie i rozliczenie tutaj wszystkiego, a jutro rano o 4 godzinie rano będzie u ciebie w podwórku samochód.* A ja mówię: *Skąd ty to zrobisz? – Ja wezmę dla sowchoza z autobazy a dam dla ciebie.* Dobra, tak

to bardzo dobrze. To ja zrobiłem wszystkie te listy płac, wszystkie sprawozdania, nie było nikogo na moje miejsce i tak ja odjechałem, bo sprowadzali z innego miejsca faceta, który już kiedyś był tutaj rachmistrzem, ale wygonili jego gdzieś tam na inne miejsce i teraz ściągali z powrotem. Wszyscy go znali, ale ja go nie poznałem, bo wyjechałem już. I rzeczywiście ja wszystkie te robiłem rachunki, wszystkie kwity co tam za wypożyczenie furmanek, za różne wpłaty tam, to pieniądze zawiozłem, rozliczyłem się. Oni mówią: *Ty wyjeżdżasz, po cholere? My te kwity spalimy, pieniądze przepijemy, będzie w porządku.* Ja mówię: *Tylko mnie dajcie, że ja się z wami rozliczyłem, a co wy z tym zrobicie to diabli z wami.* No i oni oczywiście zrobili tak jak trzeba, ja poszedłem do dyrektora, mówię: *No dyrektorze, ja już wszystko rozliczyłem się, tu spis i papier.* Więc on mi mówi: *Jutro będziesz miał samochód w podwórku.* I faktycznie ja jeszcze tego dnia wyciągnąłem wszystkie ziemniaki z jamy, bo takie piwnice w jamach robiliśmy, załadowałem w worki, nawet takie kartofle, które miałem przygotowane do sadzenia, sadzeniaki, mniejsze takie. Te sadzeniaki załadowałem, worek marchewki miałem, wszystko to, przyjechał samochód, koledzy przylecieli, sąsiedzi pomogli wrzucić i pojechaliśmy. To znaczy pojechaliśmy, a chciałem powiedzieć, że do (nz) to 300 ileś kilometrów, ale duża część drogi jest bez drogi w ogóle, co najmniej 30 km nie było żadnej drogi, tylko tak jeździło się przez rzeczki, bez mostu, bez niczego, przez te różne. Na szczęście w październiku nie ma dużej wody jeszcze, to przez dużą rzeczkę nawet jedną trzeba było nawet przejechać. Dopiero bita droga, taka droga byle jaka to zaczynała się od powiatu, od (nz) a potem to było morze 50-60 km już takiej bitej drogi. Także jak dojechaliśmy do (nz) to trzeba było tam przenocować i kilka godzin pospać, bo kierowca musiał, a potem już tak zajechać, żeby o 4 rano być na rynku w Ałmata. I tak dojechaliśmy, no kierowca pomógł rozładować, pojechał sobie, a później ja już raz sprzedawałem na wiosnę będąc już wolnym, to wiedziałem jak robić, a nawet wagi nie wziąłem z zarządu.

[4B, 00:15:00]

Tylko tam jeden facet akurat podszedł (nz), on mówi: *To ja bym chciał kupić, ale po 3 ruble to za drogo kilo.* A ja miałem 4 tony kartofli. A ja mówię: *A po ile ty możesz zapłacić?* On mówi: *2,5.* – *A ile chcesz?* – *3 worki.* I wózeczek taki miał. Ja mówię tak: – *Ja ci dam 3 worki po 2, 150 rubli. 3 worki 300 rubli, bo po 50 kg w worku.* – *Ale ty póki ja będę sprzedawał to będziesz chwalił, że zawsze u mnie bierzesz, że dobre kartofle i tak dalej. Jak ja sprzedam, to potem sobie pojedziesz. Masz czas?* – *Mam czas.* No i zaraz ludzie podeszli i ja tak workami wszystko sprzedawałem. Piorunem, ja wiem 7 rano to już nie miałem kartofli i nawet te marchewkę mnie kupili i te drobniejsze trochę taniej tam sprzedawałem, te sadzeniaki. No i temu

jeszcze dałem na butelkę wódki, temu starszemu i teraz tak, pieniędzy cała taka kupa brudnych, pomiętoszonych i co robić. A miałem jeszcze miód. Miałem kocioł od bielizny miodu i wiadro. No więc worki worków było i między te worki wsadziłem te pieniądze i zdałem na przechowalnię. Poszedłem miód załatwić, sprzedałem ten miód w komis oddałem, ale mi obiecał ten, że powie, że jutro już sprzedał ten miód. Dałem w komis, tam zaszedłem do biura, załatwili mi. Na drugi dzień zachodzę, on mówi: *Tak, ale ja nic nie sprzedałem, dam tobie zaświadczenie, ale co ja zrobię z tym miodem, po co ci.* Ja mówię: – *To był prezent, ten kocioł i te wiadro, na prezent.* On mi dał zaświadczenie, zaraz odebrałem pieniądze, a nocowałem u faceta, który był moim sąsiadem w sowchozie, tylko to był partyjny takie wielki działacz, a głupi jak but. I jego jak już chcieli się pozbyć jakoś z tego sowchoza i pojechał on do tego (nz) to myśmy u niego przenocowali, wyprasowali te wszystkie pieniądze, te worki u niego tam do chlewika wrzuciliśmy no i potem tak się ładnie ułożyło, kupiliśmy różnych rzeczy i tak się ładnie ułożyło, że był znowu na bazie w (nz) naszej, NKWD bazie był nasz samochód. I miał jechać do sowchozu i myśmy tym samochodem wrócili do sowchoza. Ja kupiłem skrzynkę wódki, zrobiliśmy pożegnalny bal, znaczy ci sąsiedzi, nie sąsiedzi, przyjaciele i koledzy kupili drugą skrzynię wódki. Całą noc pili, ja już wtedy nie byłem sportowcem do picia, zresztą na drogę bym nie pił i rano myśmy pojechali do stacji (nz).

SS: Jaka stacja?

JG: Stacja (nz). No i tam wysiedliśmy, ale pociągu nie ma do (nz). A przed dworcem samochód taki podjeżdża i facet siedzi i gazetę czyta. Ja podszedłem do niego i mówię czy nie zechciał by nas zawieźć do (nz). On mówi: *Czemu nie.* Tam 300 rubli chyba zażądał i na tyle się zgodziłem. Zawiózł nas do (nz) z rzeczami, a tam od razu autoinspektor zatrzymał go i chciał go ukarać, że wozi łepków.

[4B, 00:20:00]

On mówi, że to mój wujek, ja mówię: *Tak, jestem wujek, jestem obywatel Polski.* Wyciągnąłem swój dokument, gdzie już napisane było obywatel polski. I on mnie palce do daszku, poszedł. Zaraz na bagaż zdałem swoje te, walizkę i miałem kuferek taki z rzeczami, no i pościel, toból taki, a nie kuferek, maszynę do szycia taką ręczną. To wszystko zdałem na przechowalnię no i poszedłem, ale biletów nie ma, jak zawsze u nich. (nz) No więc poszedłem do naczelnika stacji i mówię tak: *Panie naczelniku jestem polski obywatel i muszę jechać do Polski, a tu biletów nie ma.* On mówi: (nz) *trzeba jakoś sobie załatwić,* a potem mówi: (nz), czyli miękkie, wyższa klasa. A ja mówię: *Mogą być miękkie, a ile by to kosztowało?* On zaraz

policzył, ja mówię: *To bardzo chętnie, niech będą miękkie*. Oni mnie wypisali, zaraz do kasy poszedł, kazał żeby wypisali mi bilety, ale na drugi dzień, bo już pociąg odszedł. No dobra, to kupiłem te bilety, miejscówki na drugi dzień i samo poszedłem jeszcze do tego (nz) przenocować. Tam chyba nie powiedziałem, on jeszcze u nas pracował. (nz) stary, komunista jeszcze od rewolucji październikowej. A był moim sąsiadem, ja mu tam dużo pomagałem, bo on wiadomo leniuch był i przenocowaliśmy jeszcze pamiętam waciaki swoje zostawiliśmy u niego, bo co ja tam będę z waciakami, a potem żałowałem, bo miałbym tu piękny, bardzo dobry nowiutki waciak do chodzenia do ogrodu, ale mniejsza z tym. No i na drugi dzień pojechaliśmy na dworzec, wsiedli do pociągu, jedziemy. Cały przedział, nikogo nam nie wsadzili do tego przedziału, bo to 4 osoby. A akurat przed moim wyjazdem przysłał mnie mój cioteczny brat, który mieszka na Ukrainie, a jemu siostry z Białegostoku wysyłały tygodniki, Przekroju i tak dalej. I on mnie przysłał trochę tych tygodników, to ja miałem co czytać po polsku na całą drogę. Już nie wiem czy 5, czy 6, czy 7 dni myśmy. W każdym razie półtorej doby spóźnił się pociąg z (nz) do Moskwy. No i ponieważ miałem tych pieniędzy trochę, więc w Moskwie, przyjechaliśmy wieczorem późno i przyjęli nas na kwaterę na białoruskim dworcu pokoje są gościnne takie. Przyjęli nas tam nocować, z tym że mnie oddzielnie, a żonę oddzielnie (nz) ale dobrze było nam. No na drugi dzień poszedłem do ambasady, znaczy zacząłem mówić, a nie wiem jaki urzędnik ambasady mnie przyjął i poszedłem zameldować, że już jadę do Polski, żeby mnie z tej ewidencji skreślili, że dostałem (nz), serdecznie dziękuję.

[4B, 00:25:00]

A on jeszcze widzi, że ja tam łamię się z tym językiem, to mówi: (nz) *zapomnieliście języka, to mówcie po rosyjsku*. Ja mówię: *O nie, ja zapomniałem języka, ale muszę przypominać, bo przecież jadę do Polski na zawsze*. No i on tam mnie wysłuchał, potem pyta czy mam może dużo pieniędzy, to można u nich zdać, a w Polsce można odebrać w banku albo i kupić coś za te pieniądze. No ja miałem 6 tysięcy rubli, to oddałem, a miałem jeszcze trochę tych rubli, bo trzeba jeść po drodze, wiadomo. Może 1000 zostawiłem, może ile. No, a jeszcze byłem umówiony ze swoim przyjacielem szkolnym, którego odnalazłem nie przypominałem, bo póki byłem na zesłaniu i w obozie to nie pisałem do niego, ale potem jak już byłem zwolniony z zesłania, to myślę napiszę, ale wojna była powalone domy, pozmieniane ulice więc napisałem do takiej rady wykonawczej miasta Kobryń koło Brześcia, gdzie on mieszkał przed wojną. I piszę, że tam, znaczy był taki Wiktor Zimnoch, mój kolega szkolny, a może jego ojciec tam mieszka, bo miał swój dom i tak dalej, ogrodnictwem się zajmował, Antoni

Zimnoch i gdyby on był taki uprzejmy kto ten list otrzyma, przekazał mój adres i żeby do mnie napisał. No jak się później okazało bardzo prędko zresztą napisał do mnie ojciec, że przyszedł do niego przewodniczący tego (nz) czyli powiatowej rady wykonawczej i przyniósł ten list i że on od razu odpisuje, a mój list posłał do syna, który mieszka pod takim i takim adresem. A on był głównym agronomem w miejscowości (nz). Więc ja, znaczy od razu odpisałem ojcu, podziękowałem, bardzo się ucieszyłem, a potem do tego kolegi napisałem, bo już adres miałem i póki mój list w tamtą stronę szedł, to od niego dostałem list i tak my się kontaktowaliśmy. A potem jak dostałem już zwolnienie napisałem, że będę jechał przez Brześć do Polski i może byśmy w jakiś sposób zobaczyli się na dworcu. I on mnie napisał tak, że ty zawiadom mnie, jak będziesz miał już bilet, a właściwie nie bilet, a miejscówkę, bo tam jak przesiadka w Moskwie to musisz na nowo miejscówkę, dwa dni tam na miejscówkę jeszcze czekałem. Jeżeli będziesz już miał o której godziny z Moskwy wyrusza pociąg i numer wagonu, to zawiadom mnie, to ja wyjdę na twoją stację, wsiądę do twojego wagonu i do Brześcia dojedziemy razem. No ja już nie pamiętam jaka to stacja miała być, gdzie on miał wsiąść, ale wysłałem do niego telegram i on wyszedł. A ja prosiłem już konduktorki, że wsiądzie. A też jechałem w wagonie, gdzie 3 miejsca były zajęte. A potem słyszę, że dobija się, a ona jego nie wpuszcza. To ja podleciałem, że ja mówiłem, żeby wpuściła, ale miejsca, to ja mówię, że będzie na moim miejscu siedział, będziemy siedzieć i gadać ze sobą.

[4B, 00:30:00]

JG: No i dojechaliliśmy do Brześcia razem, gadali, gadali, usiedliśmy w Brześciu, rzeczy do przechowania, pojechaliliśmy do rodziców do Kobryjni, potem do niego tam i z powrotem przyjechaliliśmy na dworzec, mnie nie wpuszczają do, jego wpuścili do sali gdzie poczekalnia, gdzie dla podróżnych poczekalnia. Stoi tam facet i mnie nie wpuszcza, mówi: *To dla obcokrajowców*. Jego wpuścili, a mnie za Sowietów zaliczyli i nie wpuszczają. A ja miałem zdane dokumenty tam w okienku, a on nie wierzy, to ja mówię do kolegi: *Ty podejdź tam do okienka, że mnie nie wpuszczają, taki i taki, on ma dokumenty*. No i on tam podszedł i ten wojskowy tam ze straży granicznej, który nam stemplował nasze dokumenty kazał mnie wpuścić. I tak myślę, no widzisz, tego, który tu żyje i mieszka tyle lat i nic, a mnie nie wpuścił, bo ja Sowietów. I tak zresztą mnie tutaj uważali, że za Sowietów. No przyjechaliliśmy, jeszcze on nam machał z mostu, bo na most szedł i widział, jak nas tam przez kamerę, nie. .rewidowano nas na granicy.